

Třebacz

SAMAR
KANDY

i inne

opowiadania

Ksawery
Pruszyński

Trębacz
SAMAR
KANDY
i inne
opowiadania

**Ksawery
Pruszyński**

Trębacz

**SAMAR
KANDY**

**i inne
opowiadania**

Projekt okładki i strony tytułowej: Jarosław Jasiński
Redaktor: Mirosława Nowakowska
Redaktor techniczny: Grażyna Karasek

© Copyright by MAW, Warszawa 1983

© Copyright by Jarosław Jasiński, Warszawa 1983

Opowiadania w niniejszym wyborze — I wydanie w tej wersji
— pochodzą z książki „Trzynastce opowiesci” wydanej nakładem
Państwowego Instytutu Wydawniczego



181461

**Trębacz
z Samarkandy**

Był kiedyś, jak ja, młodszym asystentem przy katedrze historii prawa i wkładał tę samą co ja pasję w volumina i pandecta, w wilkierze i rescripta. Kolejne zimy słały białe gronostaje śniegu na renesans krużganków wawelskich; kolejne wiosny rozzieleniały Sikornik zielenią jeszcze młodszą niż ta z trawników Green Parku. Ale ciemne pokoje gmachu na Gołębiej 20, gdzie zakłady uniwersyteckie gnieździły się od czasów Zygmunta Starego, były zawsze tak samo mroczne, jedynie może na wiosnę bardziej jeszcze wilgotne. A myśmy pisali rozprawę po rozprawie, pracę po pracy. Kiedy pracował nad prawem kulmeńskim, ja zaczynałem moje „Urządzenie włości monarszych” na podstawie „Capitulare de villis” Karola Wielkiego. Kiedy grzebał się w ustawodawstwie miejskim Prus Królewskich, ja kończyłem studium o wpływie Monteskiusza na Konstytucję Trzeciego Maja. Byliśmy w wielkiej zgodzie, bo łączyły nas te same pasje naukowe. Ale mnie coraz bardziej pociągał Wschód naszych najbliższych sąsiadów, ów Wschód republik kupieckich Wielkiego Nowogrodu i Pskowa, Złotej Hordy, z którą kumał się Witold, Girejów krymskich, z którymi korespondowali Jagiellonowie. Tylko że w Krakowie, jak i na Zachodzie brakło dla mnie kluczy do tego tajemniczego świata. On za to do swego miał wszystkie. Jak mnie pociągał Wschód, azjatycki i mongolski, tak jego pociągał umiar, spokój, chłód i ład miejskiego średniowiecza Europy. W Krakowie, obok arystokratycznego klanu Pałacu pod Baranami, Brackiej i Szlaku Tarnowskich, obok świata profesorskiego, gdzie katedry naukowe były zwyczajowo dziedziczne, niczym kasztelanie w dawnej Polsce, no i jak nieraz stanowiska polityczne w niedawnej Anglii, istniał jeszcze i cichszy, skromny, ale silny w sobie świat mieszczański. Bardziej odpowiadała mu Panna Maria niż katedra na Wawelu, a mieszczańskie domy Grodzkiej bardziej niż pałace. Mój przyjaciel wyrósł właśnie z tego świata.

Młodzi historycy mają zwykle pogardę dla wszystkiego, co określane jest przez nas jako legenda, obrzęd, podanie ludowe i co nie może się wylegitymować świadectwem wyraźnych dokumentów. Mój przyjaciel inaczej. On raczej najbardziej zdawał się wierzyć właśnie tradycji ludowej. Uważał, że przechowywana przez ludzi o umysłach prostych, znacznie mniej ulega skażeniu niż wtedy, gdy biorą ją w objęcia swej fantazji ludzie określani jako

wykształceni. Uważał, że jeśli jakąś wersję przechowuje jeden tylko człowiek albo paru ludzi lub kilka dokumentów, jest ona znacznie mniej wiarygodna niż wersja przechowywana przez ogół mieszkańców pewnej wsi, dzielnicy czy miasta i przez masę ludzką przekazywana następnym pokoleniom. Toteż gdy w pewnej chwili zawrzał spór o tzw. lajkonika, mój przyjaciel stanął mocno po jego stronie. Wszyscy znamy historię lajkonika, nie warto jej powtarzać. Dość, że naraz wydłubano nie wiedzieć skąd, iż owa tradycja, z której Kraków był tak dumny, którą tak hucznie obchodził rokrocznie w okresie Bożego Ciała, jest wymysłem na pewno bardzo późnego pochodzenia! Albowiem nie znaleziono przecież w żadnych źródłach najmniejszego śladu, by Kraków doznał kiedyś takiego właśnie najazdu tatarskiego, o jakim mówi tradycja. Nigdy Tatarzy nie podeszli do miasta niepostrzeżenie i tak blisko, by móc je chcieć opanować podstępem i, co ważniejsza, móc ubić z łuku strażnika na wieży Mariackiej w chwili, gdy ten grał hejnał. Tak samo nie ma wzmianki o tym, jakoby rozgromiono później owych Tatarów, i to tak, że wódz czy książę poległ. Profesorowie, jak wiadomo, nie lubią legend, a lubują się w ścisłości.

Lud krakowski nie bardzo się przejął owymi odkryciami profesorskimi. Po pierwsze dlatego, że żył odgradzony zarówno od Krakowa hrabiowskich koron, jak od Krakowa profesorskich tóg murem obronnym znacznie dawniejszym niż Brama Floriańska. Po drugie, że już raz stoczył bój zażarty a zwycięski o gołębce Kościoła Mariackiego. Ale mój przyjaciel począł kruszyć kopie z dobrą półkopą mędrców zasiadających rokrocznie w stallach Collegii Novi i defilujących w gęstych oparach naftaliny, w purpurze, fiolecie, zieleni i granacie tóg z kościoła Św. Anny do tegoż Collegium. Przypominał, że przecież hejnał mariacki był niegdyś grany z baszt na murach miasta i że na jednej z tych baszt mógł być ustrzelony ów trębacz; wywodził, że w kronikach są luki i niedokładności; że jeśli czegoś nawet nie było w kronice, w życiu przecież mogło się zdarzyć. Dyskusja się toczyła, lata też: mój przyjaciel na marginesie innych prac bronił swej legendy.

W roku 1939 powołano go do wojska na ćwiczenia rezerwistów. Pisał do mnie gdzieś z Ostroga: „Zwiedzam Twoje rodzinne strony”. Niebawem miał zwiedzić je w sposób nieco dokładniejszy. Znalazł się bowiem w Starobielsku, potem w Griazowcu, a wresz-

cie w Taszkencie. Po dwóch latach ponieważ mundur polowy armii polskiej był wyświechtany, obskubany, wycerowany, ale więcej w nim było sławy niż w niejednym sztandarze, co to nigdy poza defiladami nie widział frontu. Człowiek zszarzał, ściągnął się, ale fantazji nie stracił. Dużo czytał, trochę pisał.

— Szalenie żałuj, żeś tego wszystkiego nie przeżył. Kozielsk, co tam za monastyr! Prawosławny barok! Zjeździłem jako oficer kwaterunkowy całą środkową Azję sowiecką. Co to za wspaniałość! Buchara! Samarkanda!

Był to naprawdę naukowiec, bo najgorsze wszy nie zdołały w nim zabić owej pasji, tak samo jak w Józefie Czapskim nie osłabiły wrażliwości na piękno, na barwę, na światło i linie, tak samo jak w Broniewskim nie odczadziły uroku wierszy Jesienina i Błoka. Siedzieliśmy już w Teheranie, mieście legend Szeherezady, mieście Wschodu, i poprzez tandetę europejską, która tak zachwycała ludzi po wyjściu z Rosji, Wschód nachylał się nad nami i zaglądał nam do okien. A rozmowa stłumiona mówiła o Krakowie, o profesorach, o Stanisławie Estreicherze, którego nie ma, o Kutrzebie, Taubenschlagu, o Adamie Vetulanim, o całym świecie, który się gdzieś zagubił, wymarł czy rozproszył. Żegnaliśmy się. Miałem zajść do niego wieczorem. Powiedział mi jeszcze: — Gdy przyjdiesz, coś ci powiem... coś pięknego ci opowiem.

Mój przyjaciel mieszkał na końcu miasta, u Ormian... Siedzieliśmy na podwórzu domu, pod drzewami, sami. Wiedziałem, że opowie mi coś, jak opowiadał kiedyś w seminarium na Gołębiej 20, o dokonanych właśnie odkryciach czy spostrzeżeniach. Zaczął jednak opowiadać o Samarkandzie.

— Wiesz — mówił — muszę się przyznać, że gdy nas skierowano znad Wołgi do tamtych okolic, odetchnąłem od razu. Krajobraz takiego Jangi-Julu na przykład, to czasem krajobraz podkarpacki. Czy pamiętasz może Biecz, przycupnięty w górach, omszały? Nie znaliśmy naszych miast! Poza tym byli tam ludzie. Być może, że w innych okolicach byli inni, być może, że gdybyśmy byli więźniami, zachowaliby się inaczej, ale teraz ja przynajmniej mogę powiedzieć, że odetchnąłem. Jest to stara rasa, na swój sposób kulturalna i cywilizowana. Ma ową godność, jaką mają mieszkańcy Maroka i Arabowie Palestyny. Myśmy dla nich prócz tego byli synami Lechistanu. Nie ma dla nich żadnej Łotwy, żadnej

Czechosłowacji. Nie słyszeli o Holandii, Szwajcarii czy Hiszpanii. Ale o Lechistanie słyszeli. Tak jak my ongi o Turcji. Po tylu wiekach zostały tylko dobre wspomnienia. Może tak będzie kiedyś i po obecnych wojnach. Co krok, co jakieś miasto, meczet jakiś, mogiła, natrafiało się na wspomnienia historii. Nie ma śladów historii w zielonych ostępach Komi, nie ma jej za Uralem, skąpa i młoda jest nad Wołgą. Ale tam, za Morzem Kaspijskim, a ku granicy Persji, historia ułożyła się fałdami tysiącleci. Kraj cały jest jak wygasły wulkan, który przed wiekami lał lawę na świat. Ludy tamtejsze to taka właśnie lawa. Wylewała się ona szeroko i daleko, miosąc wojnę, ogień i mór. Aż zgubiła się w sobie i ostygła. Siedzi to nieruchomo teraz w progu nędznych domostw i czeka na nie wiedzieć co. Nawet rewolucja nie przeorała jeszcze tego marazmu do dna. Wschód. Otóż nas, Polaków, wojsko, witano powiedziałem ci, niezmiernie serdecznie: Uzbekowie, Tadżykowie, Kirgizi. Ale dopiero w Samarkandzie rozplywano się w gościnności typowo wschodniej, orientalnej, nasiąkniętej jakimś tajonym interesem. Interes był rzeczywiście bardzo dobrze utajony. Nie wyszedł nawet wtedy, gdy zapytano nas ni to z głupia frant, ni to nie wiedzieć co: „Jesteście synami Lechistanu, prawda?” „Jesteśmy”. I jesteście żołnierzami, prawda?” „Jesteśmy. Kilku starszych o pomarszczonych, pożółkłych na brąz twarzach, zadumało się, raz jeszcze stwierdziwszy to, co wiedzieli przecież od dawna. Po czym pytali dalej jakby od niechcienia: „I wierzycie w Boga? W swego dawnego Boga, tak?” „Wierzymy, księży mamy, o patrz, krzyże nosimy” — odpowiedzieliśmy. Starzy ludzie popatrzyli na wyjęte z zanadru krzyżyki. Takie z puszek po konserwach wycięte. Zdawało się, że ich to dziwnie raduje. Tu przyszło nowe, dość niespodziane pytanie, już jakby śmielsze, już idące wprost: „A trębaczy macie?” „Mamy!” Jak wiesz, instrumenty muzyczne mieliśmy bardzo prędko, rozumiesz przecie, jak by wyglądało polskie święto pułkowe czy defilada bez orkiestry. Nie wiem, jak tam u was w Szkocji, ale u nas tego nie brakło... Po przerwie Uzbekowie rzekli: „Bo my mamy tu do was jedną wielką prośbę... Jeśli jesteście z Lechistanu i jesteście żołnierzami... i wierzycie w swego Boga... i macie trębaczy... czy nie moglibyście jutro wieczór kazać waszym trębaczom, by zatrąbili na naszym rynku? Na wprost meczetu, w którym leżą prochy wielkiego Timura?”

„Zgoda”. Starzy podziękowali, dziwnie, jak na Wschód, krótko, i odeszli. Jeszcze, odprowadzeni, spytali w progę: „Czy na pewno zagracie? „Zagramy”. Nazajutrz uświadomiliśmy sobie, że jest to czwartek, przeddzień mahometańskiego świętego dnia, i pamiętam, że ktoś w oficerskiej stołówce zwrócił nawet na to uwagę, że może ma to jakiś związek. Ale naprawdę poczuliśmy to dopiero wieczorem. Pułkownik, który lubi takie rzeczy, postanowił godnie wystąpić. Trębaczy wypucowano, jak się należy, trąby, wszystko, a jakże. Wieczorem przed meczetem w Samarkandzie, słynnym meczetem, gdzie spoczywają prochy Tamerlana, czerniał tłum tak zbity, tak gęsty i tak nieruchomo czekający, jak tylko na Wschodzie azjatyckim czekać może. Zupełnie zastygł. Falował tylko pomrukiem. Nawet przyległe ulice i bazyry, wszystko to było wypełnione. Jedynie przed meczetem widniała niewielka, otoczona mrowiem łysina pustego bruku. Ku niej podeszli trębacze. To było miejsce dla nich. Zagrali raz, drugi, trzeci. Zagrali pobudkę wojskową, zagrali jakiś apel, zagrali wreszcie hejnał. Nasz mariacki. Pamiętasz, jak grano go w Tatiszczewie w grudniu? Wiesz dobrze, jaka jest ulica w takiej Samarkandzie czy innej Bucharze. Otóż wtedy nie było nic z tego wrzasku, rejwachu, wobec którego nasze Nalewki czy Kazimierz były oazą cichości. Oni naprawdę zmarli. Muzyka na nich tak działała czy co? W milczeniu słuchali, w milczeniu się rozeszli. Aleśmy wtedy już zrozumieli, że coś w tym jest. No i zaczęliśmy tropić, wietrzyć, węszyć. Żaden z naszych domorosłych szpiclów — a przyznasz, że u nas w ostatnich czasach ta branża dziwnie się rozmnożyła! — tak nie wietrzy, tak za słowa nie łapie, tak w cudze życie nie wścibia się, jak my wtedy. Ale ludzie Wschodu byli nieprzeniknieni. Nie chcieli nic powiedzieć.

Przyjacieli uśmiechnęli się:

— Pierwsze wygadały się kobiety... — uśmiechnął się pięknymi, młodymi zębami, których nie zgryzł szkorbut. — Z relacjami świadków jest jak z relacjami w archiwach. Znajdziesz coś w Jagiellonce, porównasz z czymś w Raperswilskiej; znajdziesz coś w Raperswilskiej, porównasz z czymś w Kórniku. Było zahaczenie. Zahaczeniem było to, co mi powiedziała owa dziewczyna. Potem wygadali się starzy ludzie, ci, co to znali lepiej.

Pamiętam, już się ściemniło zupełnie i na ścianie ormiańskiego domu były cienie od księżycy błękitne, kiedy mówił dalej:

— Jest, okazuje się, w Samarkandzie pewna legenda. A raczej prorocstwo. Otóż oni kiedyś brali udział wespół z Tatarami w najazdach na Polskę. Rzecz zrozumiała, że brali, bo skądże by takie masy parły na nasze kraje w czas najazdów? I oto raz dopadli do miasta, „które u was — tak mi powiadał Uzbek — jest tym samym, czym u nas (to jest tamtejszych Tatarów) Samarkanda...”

— Kraków? — zapytałem nagle.

— Nie wiem; tego mi nie powiedział i nazwy legenda nie podaje: mówi tylko, że bardzo stare i bardzo bogate miasto...

— Jeśli bogate, to nie Kraków.

— Przepraszam: w ich pojęciu także Samarkanda jest bogatym miastem.

— No, jeżeli Samarkanda... — przyznałem.

— ...bardzo stare i bardzo bogate miasto, stolica kraju. I miasto święte. Właśnie z jednego z minaretów — jak oni mówią — tego miasta trąbiono modlitwę. Tatarzy podkradali się pod same mury. Chcieli miasto wziąć przez zaskoczenie. I wtedy...

— Toż to lajkonik!

— Uważaj! I zaledwie trębacz mógł zaalarmować miasto, gdy strzała z tatarskiego łuku przeszła mu gardło. Zginął, ale zaalarmowane miasto obroniło się. Tatarzy ponieśli klęskę.

(Dziś, kiedy sobie spisuję tamto teherańskie opowiadanie, przychodzi mi na myśl, że przynajmniej raz źródła dziejowe dwóch narodów opisują to samo wydarzenie w identyczny sposób. Wtedy, w Teheranie, mogłem myśleć tylko o legendzie).

— Więc to naprawdę nasza legenda?

— Poczekaj. Ale ty wiesz, dlaczego chcieli, żeby nasi trębacze zagrali w ich mieście na wielkim placu, u progu meczetu?

— Dlaczego?

— Ano wyobraź sobie, że owi Tatarzy mieli ongi szlachetny zwyczaj spisywania dokładnych raportów po każdej wyprawie. Jaki miała przebieg, jak długo trwała, jak wojowali przeciwnicy, gdzie łup był najbogatszy w bydło, a gdzie w kobiety. Raporty takie były po powrocie do ojczyzny stepów poddawane badaniom jakby komisji, gdzie zasiadała starszyzna, a więc i kapłani. Szczególnie pilnie badano raporty, jeśli wyprawa poniosła klęskę. Tym razem przyczyny klęski zbadano tym dokładniej, że zginął w niej jakiś królewicz tatarski, syn wodza czy coś takiego. Zu-

pełnie więc jak w naszej legendzie krakowskiej. Jak widzisz, czasem legendy mają rację. Kapłani nie biedzili się długo nad swą wyrocznią. Orzekli oni niebawem, że klęska była spowodowana karą nieba za to, że w czasie gdy miasto zabierało się do modlitwy przerwano zniecka jego pacierze. Nie wiem, dlaczego tak właśnie orzekli. Może dlatego, że wszyscy kapłani mają poczucie solidarności, może dlatego, że nie znalazłszy innych przyczyn chcieli w ten sposób wyrazić to, co my nazywamy *vis maior*. Dość, że tak orzekli. I dodali jeszcze przepowiednię nader ponurą dla tych wszystkich ludów: „Czyn wasz — mówili — ześle na was karę nieba. Nie będziecie trawili cudzych ziem co wiosnę, nie będziecie zdobywali obcych miast, królestwa wasze upadną, na gruzach meczetów chwast porośnie i sława stepowa w zapomnienie popadnie. Jednak i dla was zabłyśnie słońce pomyślności. Ale nie nastąpi to, zanim trębacz z Lechistanu nie zatrąbi na rynku w Samarkandzie pieśni, której wtedy nie skończył”. Tak powiada legenda samarkandzka. I tak wierzą wszystkie plemiona mongolskie od Tiań Szaniu po brzegi Morza Kaspijskiego. Duch Dżengis-chana błąka się po stepach Azji.

— Więc to jest autentyczna legenda?

— Cóż to znaczy: legenda autentyczna? Bywają dokumenty autentyczne lub podrobione, nie ma autentycznych lub podrobionych legend. Legendy nie mają metryki. Kraje nowe nie mają legend; kraje stare je mają. Legenda fermentuje w mózgu paru pokoleń jak wino w kadziach, nabiera siły. To pewna, że tutaj nikt nie słyszał o Krakowie, o hejnale, o naszym lajkoniku. Ale mieli legendę, która jest jakby połową naszej legendy.

Jak w naszym klimacie odnajdujemy ich stepowe wzory, tak w rysunku owej legendy odnajdujemy ślad naszej.

W zmierzchu niebieskim nocy, pod białą, wyblękitniałą ścianą, Kraków nagle zesuwał się na obraz Samarkandy. Wieża Mariacka, Rynek, Gołębia, Planty. Opadała zasłona przestrzeni i czasu. Zmalały gdzieś mile i wieki. Pomiędzy dalekim Krakowem i niemal legendarną Samarkandą poczynał się więc wzorzysty, jednakowy dla nich i dla nas rysunek wspólnej legendy.

Różaniec z granatów

Był to mój trzeci kolejny szpital, już w Anglii, i przywieziono mnie nocą i umieszczono na jedynym wolnym łóżku. W szpitalu nie było poza tym wolnych łóżek i wszystkie sale były pełne, i stało w nich więcej łóżek, niż powinno było stać. Był to czas, kiedy codziennie napływali setkami tacy jak ja, z dywizji, o których było w pismach, że „they are closing the Falaise gap”¹, a także tysiącami tacy z Włoch, o których w tych samych dziennikach, ale o trzy tygodnie wcześniej było powiedziane: „they effectuated a very deep break through on the Ancona sector”². Była noc, a na sali ostry zapach jakichś lekarstw i mdły cierpiącego ludzkiego ciała, jakim nie czuć ciała ani w koszarach, ani w więzieniu, ani w okopach, ale tylko tam, gdzie są rany i gdzie ciało cierpi. Było także mdłe, przymgłone światło i wszystko było białawe. Leżałem wysoko na wózku, wyprostowany, i mało mogłem widzieć, gdy mnie przekładano na łóżko. Potem mogłem widzieć jeszcze mniej, bo bolało mnie ramię, całe poszarpane, i bok jeszcze pocięty, a do łóżka przygwaźdżał mnie ciężki, jedenastokilowy gips, założony na pęknięte od wstrząsu kręgi w plecach. A jazda przedtem była długa i męcząca.

— To jest Polak, obok pana, także — powiedziała siostra.

I nachylając się nade mną, doszeptała jeszcze:

— He is not very well, poor boy, I don't think he will have it for very long.

Co znaczyło, że długo nie pociągnie, ale omyliła się. Następnego rana żył jeszcze, a następnego wieczoru było mu jakby lepiej. Mnie z rana było za to niedobrze. Widziałem, jak na drugim końcu sali obstawili łóżko jedno białym parawanem wokół, a że znałem już zwyczaję szpitalne, więc zastanawiałem się tylko, o co tu chodzi: naturalna potrzeba czy koniec. Ale nie otworzono okna i tylko po jakichś dwudziestu minutach przystawiono wózek, a potem wytoczono go z sali, tak samo jak przytoczono przedtem mnie, gdy przyjechałem, a także jak wytoczono w cztery dni potem na zeszyte rany ramienia. Wózek był zasłonięty białymi płótnami, tak

¹ Zamykają wyłom pod Falaise.

² Głęboko wdarli się na odcinku Ancony.

że nie widziałem wcale twarzy człowieka, co skończył tak blisko. Potem łóżko zasłano. Na obiad już tam leżał ktoś nowy.

Twarzy Polaka przy mnie także nie widziałem długo, bo on się nie ruszał, a ja prawie nie. Ale jego łóżko było tuż przy moim i jego szafka nocna między nami, i z niej zwiślał zawieszony przedmiot, który mnie zastanowił. Był to różaniec. Nie to było nadzwyczajne, że był to różaniec, dużo dziwniejszy był rodzaj tego różańca. Był to różaniec z granatów. Małe, ciemnoczerwone ziarenka były nanizane jedno za drugim, jak zwyczajnie w różańcu. Rzadko widziałem w życiu różańce z granatów; a jednak przypomniałem sobie, że widziałem takie, i męczyłem się, aby sobie przypomnieć — gdzie. Kiedy się tak leży nieruchomo, człowiek wdraża się myślami we własną pamięć, aż znajdzie. Znalazłem! Kiedy człowiek jest ranny i uświadomi to sobie, to maca ciało i kości, aby wiedzieć, co mu dolega, a co wyszło cało. Kiedy człowiek przeszedł przez gorączkę i był nieprzytomny, to bada, czy jego myśl i pamięć nie przestała działać. Działała. Tak. Różańców z granatów nie robi się ani w Polsce, ani we Francji, ani we Włoszech nawet, ani w Holandii, choć wszystko to są kraje katolickie i wszędzie tam odmawia się różaniec. Jest tylko jeden kraj, gdzie nawet z przedmiotów do nabożeństwa robi się klejnoty, bo tam religia i zbytek od dawna łączą się razem, i w kraju tym słyszałem o różańcach z pereł, a widziałem różańce z ametystów i — najpospolitsze — różańce z granatów. Było to w Hiszpanii. Poczujęm się lepiej, ale chłopiec za to poczuł się gorzej. Mogłem się nieco podnieść i widziałem, jak leżał na wznak, wyprostowany. Miał bardzo młodą i bardzo białą twarz, rysy nieregularne, jakieś brwi nierówne i czoło szerokie, otwarte. Oczy miał przymrużone i tylko czasem jakiś skurcz poruszał te oczy i zbielełe, popękane wargi. Miał ludową polską twarz i może pasował do niej różaniec, ale nie z granatów.

W nocy niepokoił się i rzucał, co było niebezpieczne o tyle, że miał przestrelone jedno płuco i także naruszoną wątrobę. Siostry nie chciały mówić wyraźnie, co mu jest, bojąc się, aby nie dosłyszał, a także dlatego, że tak chce regulamin. Ale wiedziałem, że walczy o życie, jak to się mówi, że raz jest lepiej, a znowu drugi raz gorzej. Sam ranny, człowiek obojętnieje na cudze rany i śmierć. A jeszcze ludzi, których się nie widziało i nie znało inaczej

niż w szpitalu. Kiedy człowiek sam gorączkuje i bóle wracają na niego falami — miewa zachcenia. Jeden u nas kiedyś wołał po nocy o kiszoną kapustę; inny chciał wody, ale ze studni. Mnie męczyła po nocy historia tego różańca. Przypomniała się naraz Hiszpania, płowa, surowa, pachnąca oliwą, Hiszpania wojny domowej. Był wieczór, kiedy temperatura się podnosi, i zacząłem sobie nucić bezwiednie dawno zapomnianą nutę, smutną, bardzo hiszpańską: „Siempre in gardia, siempre in gardia”¹ — powtarzałem sobie strzępy zwrotki. Białe łóżko obok poruszyło się. Posłyszałem jakby jęk; ale to nie był ból: to tylko usta odwykłe od śpiewania stroiły się tak, jak się stroi instrument. Za chwilę jęk przeszedł w pieśń. Bolało mnie, ale podniosłem głowę, jak tylko mogłem. To wtedy nie było dużo, ale dosyć jednak, by coś widzieć. Widziałem, jak na twarzy pojawił się ruch jakby. Opierzchłe usta wyrzucały z siebie, z trudem na pewno, ale wyraźnie, całkiem wyraźnie, dalsze słowa zwrotki. Pamiętam dwa słowa joven gardia. Wymawia się: choven. Znaczy: młoda gwardia. Wiedziałem już, że leżał przy mnie członek Brygad Międzynarodowych, pewno z Polskiej Brygady, trzynastej, imienia Jarosława Dąbrowskiego.

— Dąbrowszczak? — zapytałem.

— Aha...

Odmrużył oczy. Były szare, przedziwnie świetliście szare. Patrzyły pytająco, ale nie bardzo przytomnie. Opadłem na poduszkę sam i nie widziałem ich. Głos przestał nucić. Słyszałem tylko oddech jego, niespokojny, przez nos, świszczący jakby, i miałem prawie zadzwonić na siostrę, bo bałem się, czy on... Ale to pewno było wzruszenie jakieś. Może nie wiedział przedtem, że Polak tu leży albo że tamto posłyszysz. Pewno za silnie potrąciło to struny jakichś wspomnień. Ale oddech ścichł, stał się miarowy. Myślałem nawet, że usnął, ale po długiej chwili posłyszałem naraz głos tak cichy, jakby brzęczenie:

— Kolega?

— Co wam?

— Nnnie... Wiersz. Czy pamiętacie? Wiersz?

Mówił wyraźnie: wiersz. Cicho, ale zupełnie wyraźnie. Prosił o jakiś wiersz? Jaki? Ktokolwiek by słyszał ten jego głos, taki ci-

¹ „Zawsze na straży, zawsze na straży”.

chuśki, słaby jak pajęczyna jaka, nie odważyłby się spytać, jaki wiersz. Nie chciałem i ja i szukałem myślą. „Arriba parias de la tierra”¹ — zacząłem. Łóżko się poruszyło. Nie wiem jak — poznałem, że to nie to. Zobaczyłem ruch ręki, białej, znieruchomiałej ręki na kocu. I znowu ten słaby, męczący się głos.

— Nie... nie. Nie to... Polski wiersz. Polski. O jednym... chłopcu takim... co porzucił chatę... u nas mówili... w Albacete...

Teraz na mnie napłynęła fala wzruszenia ciepłego pod gardło. Wiedziałem. Jak mogłem nie wiedzieć!

Było cicho owego wieczoru i pola zielone za oknem przesłaniały się błękitnawym zmrokiem. Szedł ciepły, sierpniowy wiew przez otwarte okna. Wyganiał zapachy szpitala.

W ciszy tej, cicho i wyraźnie, zacząłem mówić wiersz prośby, jak opowieść:

Jechaliśmy stępa,
pędziliśmy w kłębach
i „Jabłoczko” piosnkę
trzymaliśmy w zębach.
Ach, piosnkę tę dotąd
na pewno pamięta
malachit stepowy,
murawa pomięta.
Lecz inną pieśń jeszcze
o obcym narodzie
towarzysz do siodła
przytroczył w pochodzie
i śpiewał, choć rodak,
tutejszy jak ja:
— Grenada, Grenada,
Grenada moja!

— To? — spytałem cicho. Spytałem głupio. Podniosłem się i widziałem jego twarz. Była to twarz człowieka, który ma widzenie, którego teraz nie boli nic, dla którego ani cierpienia nie ma, ani śmierci. Poruszył głową:

— Tak, tak... dalej.

¹ „Wyklęty, powstań ludu ziemi”.



Czy pamiętałem dalej Tuwimowski przekład wielkiego wiersza Swietłowa? Złakłem się. Dawno go nie mówiłem. Teraz był tak potrzebny! Wolniej, bo z namysłem, zacząłem mówić dalej:

Na pamięć tę piosenkę
jak pacierz znał Pański.
I skąd do mołojca
ten smutek hiszpański?
Kijowie! Połtawo!
Od kiedyż w te strony
przybyły z Grenady
hiszpańskie canzony?
Nie w twoimż to zbożu,
Ukraino, śród żniwa,
Tarasa Szewczenki
papacha spoczywa?
Więc skąd, przyjacielu,
w piosence twej lka:
— Grenada, Grenada,
Grenada moja!

Mówiąc męczyłem się, czy pamiętam. Czy nie urwę w połowie, w ćwierci. Przystanąłem. Od łóżka — posłyszałem coś. Spojrzałem. Po żółtej, niezwywo już żółtej twarzy spływały wolno długimi strugami łzy.

— Dalej... dalej..

A chochoł-marzyciel
po małej chwileczce
powiada: „Grenadę
znalazłem w książeczce
Wysoki to honor
tak piękne mieć imię,
jest powiat grenadzki
w hiszpańskiej krainie.
Ja chatę porzucił
i walczyć szedł po tom,
że ziemię w Grenadzie
ja oddać chcę chłopom.

Zegnajcie, najmilsj,
powrócę, Bog da!"
— Grenada, Grenada,
Grenada moją!

Od łóżka szedł chwilami cichy ogromnie szloch, tak cichy, że aż wierzyć było trudno, że może go wydawać dorosły człowiek. Ale on był już czymś innym niż dorosłym człowiekiem: był trochę jak bardzo słabe dziecko. — Dalej, dalej — prosił i mówiłem cały długi wiersz.

Świt wstawał na niebie,
by znowu się schować...
I koń się utrudził
po stepie cwałować.
Lecz „Jabłoczko” szwadron
wciąż grał bez wytchnienia
na skrzydłach epoki
smyczkami cierpienia.
I gdzież, przyjacielu,
podziała się ta
— Grenada, Grenada,
Grenada moją!

Naraz, nie wiem czemu, to mnie przypomniała się nie Hiszpania, lecz nasza Normandia i czołgi mego pułku, 10 pułku, brnące gdzieś pod Falaise przez pszenicę normandzką. Mówiłem, jak poznali „dokładnie gramatykę boju i słowa armatnie”, a potem, jak „na ziemię od kuli zważyło się ciało” i jak „rozstało się z siodłem, a nigdy nie chciało, nad trupem się księżyc potoczył jak łaźnia i wargi martwiejąc szeptały: Grenaa...”

Cała ballada rewolucyjna, wyśniona w 1917 gdzieś nad Donem, nad Manzanarem w dwadzieścia lat potem echem wojny odbita. Jego wojny.

Było już ciemno zupełnie i nie mówił już nic. Zasnął. Myślałem, że może mu to zrobić źle albo dobrze. Zrobiło dobrze. Spał twardo, na drugi dzień było wyraźnie lepiej.

— Here, you are a good boy¹ — mówiła siostra odkładając termometr. Tylko młodszy doktor milczał sceptycznie.

¹ Jesteś dobry chłopak.

Mnie też było lepiej. Posadzono mnie na łóżku i oparto o poduszki. Miałem coś do wyjęcia z kieszeni battle-dressu i kazałem go sobie podać. Zobaczyłem biorąc, że jego oczy spoczęły na czymś i zdumiały się czy zmroziły. Na naramienniku widoczna była gwiazdka.

— Oficer?

— Tak — kiwnąłem głową — podporucznik.

Milczał chwilę: tak trudno mu szło mówienie. Może się zmęczył, może zawahał. Po chwili, patrząc głęboko tymi swoimi bardzo szarymi oczyma, zapytał:

— Byliście... pan porucznik był... w której kompanii? Mickiewiczza? Palafoxa?

— Nie. Nie byłem w żadnej kompanii.

Szare oczy nalały się zdziwieniem:

— Toście nie z Hiszpanii?

— Z Hiszpanii. Byłem w Hiszpanii podczas wojny. I z wami. Ale się nie biłem. Pisałem. Jako korespondent.

— Korespondent? A myśmy nie mieli oficerów. Nam tak trzeba było oficerów! Byłoby inaczej pod Saragossą...

— Ciszej, ciszej. Nie mówcie tyle!

Ale on urwał sam. Dyszał. Nie rozumiał, ale się zmęczył. Patrzył długo, długo, tym nieruchomym wzrokiem, jaki mają ludzie co nie mogą mówić, ale jeszcze nie zdołali do tego przywyknąć. Patrzyłem na niego i raz jeszcze oczy mi zbiegły na ten różanec; może dlatego, że jego ciemnoczerwone ziarnka odbijały się od całej białości szpitalnej. On zobaczył ten mój wzrok. Uśmiechnął się i powiedział:

— To też... z Hiszpanii.

Uśmiechnąłem się i ja.

— Wiem.

— Kto wam... kto panu porucznikowi powiedział?

— Nikt. Ale takie różaneczki z granatów są tylko w Hiszpanii i nigdzie indziej.

Kiwnął głową:

— Tak... Dlatego...

Oczy jego pobiegły za różaneczkiem. Znowu uśmiechnął się.

— Wie pan — mówił z trudem — gdyby nie ten różanec... da-

wno bym nie żył... A tak — uśmiechnął się — dopiero teraz... Całych siedem lat... wygrałem... na tym różańcu takim...

Zadyszał się i znowu nie mógł mówić, a nawet teraz stało się jeszcze inaczej, bo poruszał ustami, ale usta nie wydawały dźwięku. Ale po kwadransie jakimś zaczął mówić, potem znów ustał, potem mówił, aż póki nie przynieśli obiadu. Przespawszy się trochę, mówił znowu, z ciągłymi przerwami, aż do wieczora. Opowieść była tak samo w strzępach jak on sam. Ale strzęp po strzępie dały się one zeszyć. Oto była jego historia:

Rodzice pochodzili z Polski, spod Wolbromia, i brat starszy, i siostry dwie pamiętały jeszcze Polskę, on — nie, choć się był jeszcze w Polsce urodził, ani siostra trzecia, która przyszła na świat w Larièges koło Lens nad Kanałem, już nie znała nawet Polski. Rodzina zaznała wiele biedy, jak tylu emigrantów z Polski, szukających chleba w kopalniach na północy Francji albo w fermach na jej południu. Ojciec był tam czymś w lokalnym CGT, znał Juhau i kiedy wybuchła ta wojna z Hiszpanią i szli Polacy, Jędrak — starszy brat — poszedł także. Było mu dwadzieścia dwa lata, Jędrakowi, był ranny zaraz na początku, ale lekko, i posyłał kartki do nich do Francji i swoją fotografię, kiedy przeszedłszy przez kurs w Albante został tenente. Piękny był chłopak Jędrak i dla niego, Józka, taki dobry zawsze. Dobry, mądry brat. Matka płakała, och, jak płakała, gdy przyszło z Polskiej Brygady, że Jędrak poległ na czele swej kompanii, na samych przedmieściach Alcalá de Henares. Na wiosnę samą 1937. Matka mówiła, że to kara Boska, bo matka była jeszcze z tych starych. — Po staremu — mówił — myślała. On, Józek, wtedy poszedł. Za brata tego. Za Jędrka. Matka nie wiedziała. Poszedł.

Dalsze strzępy opowieści były porozrywane niezmiernie. Czasem myślałem, że majaczy. Uniósł się. Nawet podniósł ten swój głos. Wynikało z tego, że był w Brygadzie Dąbrowskiego niedługo, jakieś kilka tygodni. Zrobili nocny marsz na Saragossę. O świcie byli pod miastem. Słyszeli, jak faszyci bili w dzwony na trwozę. Ale potem przyszły samoloty i drogą wyszły czołgi, i uciekali górami. On z drużyną błądzili trzy dni, aż wpadli na tamtych. Reszta drużyny uszła, on i dwóch zostało. Tamci dwaj — na śmierć.

On dostał z boku strzał przez plecy, w łopatkę. Kiedy przyszedł do siebie, był wieczór, ciemno, leżał na słomie, obok inni jęczeli.

Była to jakaś stajnia czy obora, czy piwnica. W drugiej izbie palił się ogień i w jego świetle w drzwiach Józek zobaczył żołnierza w takiej capo na plecach i z takim bagnetem na karabinie, jaki tylko mieli tamci. Faszyści. Zmartwiał. Przy ogniu w tamtej izbie siedzieli ludzie, których nie widział, bo siedzieli w kucki na ziemi; ale naraz podeszło do tamtych ze dworu dwóch innych żołnierzy. Teraz dopiero zmartwiał. Mówili do siebie chrapliwym, obcym językiem, a jeden miał na piersi, na mundurze, sznurkiem — jeden na drugim, jak medale pozawieszane zegarki. Mieli twarze czarne i brodate i białe zawoje. Byli to Maurowie z Rifu. — Ja się tyłkom dziwił, czemu nie zabili mnie tam — opowiadał Józek.

Tajemnica niezwyklej łaskawości się wyjaśniła. Na drugi dzień przyszedł oficer w granatowej, szamerowanej kurtce, gruby ksiądz i dwaj requetes. Byli młodzi i mieli czerwone berety. Jeden nie mówił prawie wcale po hiszpańsku. — Oficer wydobyl z kieszeni ten różaniec i spytał, czy to mój, skąd go mam i żebym powiedział całą prawdę. Czemu nie miałem jej powiedzieć? Więcem powiedział, że w Albacete, gdzieśmy stali, robili taką antyreligijną représentation¹. Maskaradę. Żołnierze. I jeden zawiesił sobie ten różaniec. Pewnie go gdzieś zrabował. Mnie się żal zrobiło i powiedziałem, żeby mi go dał. Dać nie chciał, ale sprzedał. I stąd mam. Jednemu tylko już nie powiedział, gdzie sobie ten miliciano ten różaniec powiesił. I tego, po com go odkupił. A odkupiłem dla matki. My zawsze, jak z domu gdzie jeździli, to matce gościniec przywozili, a jeszcze teraz, kiedy przeciw niej do Hiszpanów poszedłem. I myślałem, że matka nigdy takiego pięknego różańca nie miała ani nie wiedziała, że takie są. Alem tego wszystkiego im nie powiedział. Oni słuchali, a potem ksiądz mnie spytał, czy wiem, że to grzech kupować rzeczy kradzione, a do tego święte. A ja mu na to — bom nie był tak słaby jak tera — że pewno jeszcze większy grzech nie kupić, jak inni ze świętych rzeczy pośmiewisko czynią. I wszystkim mu wtedy wygarnął, i ksiądz był czerwony jak piwonie, co u nas przed domem rosły, a oficer to z krzykiem i pejczem na mnie skoczył. A ja nic, bom sobie myślał: „I tak zabiją, niech się nie męczę, jak inni się męczyli”, i tylko że mówię, co było, bo mnie pytali, to niech się nie sierdzą. I że mi o ten różaniec

¹ Przedstawienie.

i tak wstręty czynili w brygadzie, tyle że kapitan Kowaczek ujął się za mną. I żeby mi go oddali, bo to nie jeich, a mój, zem go zapłacił. Pyskaty wtedy byłem. Zobaczyłem też, że ci dwaj drudzy, requetes znaczy się, nie mówią nic, ale tak jakoś patrzą, jakby moją stronę brali. I ten obcy mówił z tym drugim na stronie, ale widziałem, że nie po hiszpańsku. Potem spytał mnie czy znam francuski. Powiedziałem que oui ¹ i on mnie zapytał, po co przyszedłem się tu bić. A ja: et vous pourquoi ². Oficer powiedział, że mnie zapłacono, a ja — że pewno mniej, niż jemu płacą. Myślałem, że mnie zabije, ale jakoś z tym obcym się liczył. A tamten znowu: czy wierzę w Boga? Powiedziałem, że wierzę, ale jak na różaniec patrzę i jak matkę wspomnę, a jak takiego księdza z coltem do sutanny widzę, to już nie wierzę w nic. I naszła mnie taka słabość, jak teraz czasem. A gdy przeszła — to ich już nie było.

Ale potem miałem ranę przewiazaną i dostałem jeść, a wieczorem zaszedł ten obcy requete — pokazał przepustkę żołnierzowi u drzwi — i przykląkł przy mnie. Pytał, czy czego nie trzeba, ja mówiłem, że nie, bo i tak nas rozstrzelają, a on mówił, że nie i że to czerwoni mordują jeńców, a oni — katolicy — nie, to ja się śmiałem i tych ośmiu, co leżało — też, z wyjątkiem dwóch, co już od południa przestali się ruszać. Jemu było przykro i mnie jego zrobiło się żal. A był wtedy młody jak moja siostra, ta druga, Janka. Powiedział, że jest Irlandczykiem; że zawsze słyszał, że Polacy są dobrzy katolicy, a że walczyć tu przyszedł za wiarę. Spytałem: za jaką? czy za tego grubego księdza z coltem u boku? A on odpowiedział, że nie, ale za takie różańce jak ten, które z ręki pobożnych wydarto na pośmiewisko. To mnie było żal. I powiedział mi jeszcze, że nasza drużyna nacięła się na ich stanowiska i że to był ich karabin maszynowy, z któregośmy dostali. Inni Irlandczycy byli z falangistami: ale oni są katolicy i poszli do requetes. Nosił taki szkaplerz, jaki znajdowaliśmy na piersiach poległych requetes: z Sercem Jezusa. Duży. Czerwony. I powiedział, że zawiadomił Polaków o mnie.

To była prawda, bo jakoś w trzy dni później przyszli po mnie. Myślałem, że wyprowadzą tak jak innych, i bałem się, tak, wtedy

¹ Że tak.

² A pan co?

to naprawdę się bałem. Nie miałem nikogo, by być na niego zły, jak wtedy z tym księdzem i oficerem. Ale mnie nie związali, przetarli twarz mokrym ręcznikiem, wsadzili nawet do auta. Nie ciężarówka, ale auta. Za chwilę byliśmy w mieście. Ma wąskie ulice, do góry takie, klasztorów a pałaców pełno, wszystko z kamienia. Było ciemno i tylko w witrynach była wszędzie uśmiechnięta gęba tego ich Franco i dziewczyny chodziły z żołnierzami na rambli¹. Dziwno było patrzeć. Myślałem sobie: „Ot ludzie żyją i chodzą, a tobie, Józek, koniec”. Wtedy dziwno było myśleć, że mnie nie będzie, ale świat będzie, jak był... Dziś wiem. Auto stanęło na placu przed jakimś pałacem czy hotelem bardzo oświetlonym. W bramie stało na warcie czterech takich czarnych w zawojach, z karabinami w kosmatych łapskach. Zwierza takie. Na mnie to patrzyli — zjedliby tymi zębami żywego. Ale puścili do środka. Oficer był ze mną i dwóch regulares. Była sala i światła, i pełno mundurów, potem korytarz — jeden, drugi, trzeci. Mijaliśmy jakąś jadalnię jak refektarz: były białe obrusy i szkła, zbierano talerze i zapachniało baraniną i oliwą! Myślałem, że mnie zemdli. Głodny byłem. Ale pędzili dalej. I wreszcieśmy doszli. Z korytarza były oszklone drzwi, a za nimi duży pokój. Fotele, dywany miękkie wszędzie, portrety czarne takie, stare po ścianach i wielki komin, a na nim ogień. I było ze dwudziestu może oficerów. Siedzieli, gazety czytali, gadali bardzo głośno. Byli i nie oficerowie, a wyglądali na oficerów. Mój oficer wszedł do środka. Trzasnął tymi obcasami, spytał jakiegoś grubego, siwego pułkownika; ten się rozejrzał i wskazał na stolik. Bo były trzy stoliki: w karty sobie grali, skurwysyny. Wskazał na pierwszy. Oficer podszedł i zagadał do jednego grającego, w cywilu. Serce mi zabiło. Powiedziałem sobie: to musi być Polak. Tamten wstał. Ci, co z nim grali, odłożyli karty. Wtedy zobaczyłem, że tylko jeden z nich, też starszy, na piersiach z całą tęczą orderów, jest Hiszpan, ale dwaj inni — nie. Jeden — poznałem — Włoch. Włoskie mundury znałem z kina. Drugi miał jakiś zielonkawy, wcięty mundur. Cywil zagadał coś do mego oficera, ale ten w zielonym coś się wtrącał. Nie wstawał, ale zrobił ruch taki jak rozkaz. I wprowadzili mnie.

I wszedłem — zrobiło się cicho, a ja, jak popatrzyłem do lustra, zrzuciałem dlaczego. Lustra były duże, na całą ścianę, i zoba-

¹ Na spacer.

czyłem, jaki byłem: czarny, zarosły, włosy długie, a moje granatowe mono milicjanta republikańskiego podarte i brudne. A wokoło same ich jasnie państwo. Ale mnie zmroziło i stanąłem hardy — niech tam! — i byłbym tak stał, ale ten zagadał: „Polak?” To na tę polską mowę, jakem ją posłyszał, to mnie zmiękło. „Polak” — mówię. „Z Polskicie?” „Z Francyjej”. A on popatrzył na mnie i gada: „A ile wam dali, żeście tu poleźli?” O Jezu! Tak mi powiedział jak tamten, a Polak. To mnie to tak zaraz zatkało w gardle z żalości i stoję; one się gapią, a ja tylko myślę, że nie, niech co chce, nie będę płakał. Ale on widział i pewnie pomyślał, że mnie skrzeszył, bo mówi: „Teraz to żałujecie. Wstyd Polsce tylko przynosicie wszyscy. Czerwienić się za was trzeba”. Ale się nie czerwienił, tylko głos podniósł. Jakby chciał, żeby widzieli drudzy. A potem jakoś zmiękł. „Czego chcecie?” — zapytał. Ja już nic nie chciałem, tylko żeby mnie od tych świeateł i od tych luster, i od tych panów zabrali, alem wyjęczał z siebie: „Polak jestem...” A on znowu z ostrą, jakby na całą kompanię krzyczał: „Nie jesteście już żaden Polak: bolszewik jesteście, bolszewik. Rzeczpospolita się was wszystkich wyparła i wyrzekła. Rzeczpospolita pozbawiła was obywatelstwa. To macie, na coście zasłużyli. Odmaszerować!” I tak mnie wzięli, ale jeszcze przez drzwi widziałem, jak siadał z powrotem do kart, ale wzburzony jednak taki, a ten czarny Włoch i ten zielony, i inni mu potakiwali coś, zadowoleni. A mnie było wstyd i wstyd, i wstyd, i tak szedłem koło tej sali, gdzie jedzeniem pachniało, a byłem głodny — to słowo daję — nie mógłbym nic wtedy ruszyć, nawet gdyby dali. Ale nie dali nic. „Nic ci twój major nie pomógł” — zaśmiał się w aucie oficer. A ja nie powiedziałem nic. Tylko myślałem: major? W cywilu był. Major? A ojciec bił się w dwudziestym roku! Słowa na wojsko polskie powiedzieć nie pczwała! Major! Polski major! Pewno był obserwatorem jakimś czy korespondentem jak pan...

Ta część opowiadania kosztowała go najwięcej. Reszta była łatwiejsza. Wypluwał ją z siebie kawałami jak krwawą plwocinę suchotnik. Nazajutrz rano okazało się, że po tej wizycie zapadł w gorączkę. Irlandczyk go odwiedzał; a potem jeszcze dwaj inni jego koledzy. Warta puszczała, bo mieli przepustki, a potem — bo przywykła i że papierosy angielskie im dawali. I jakoś trzy dni potem przyszli pod wieczór, ale w sześciu, pokłęczeli przy nim i

naraz nasunęli mu na głowę beret taki, jak mieli sami, narzucili taką samą opończę i popod ramiona wyprowadzili. Była noc i wartownik był opity, a drugi w ogóle nie pytał. Przed domem stało ciężarowe auto i siedzieli na nim inni. Byli to wszystko ochotnicy irlandzcy, jak ten pierwszy, i na mocy jakiejś umowy międzynarodowej mieli wrócić do Irlandii. Wielu z nich to ranni, ze szpitali. Rano byli w San Sebastian. Na widok ich mundurów nie było żadnej kontroli; jeszcze ich kobiety eleganckie, uperfumowane obrzuciły kwiatami, słodkimi pastas, medalikami. I wtedy mu Irlandczyk oddał jego różaniec. Byli też księża i błogosławili im. — A ja się tylko bałem, żeby gdzie mego grubego nie zobaczyć: on by mi pobłogosławił! Bo mnie tu obdarowali i obmodlili najhojniej, jako zem najbardziej ranny. — Wieczorem statek był już na morzu. W dwa dni później znaleźli się w Dublinie. — O, to złoty naród Irlandczycy. I, widzi pan, zbawił mnie różaniec.

Naopowiadał mi tyle dnia tego, iż myślałem, że jest mu naprawdę lepiej, i ze skruchą wysłuchałem przy opatrunku w ambulatorium łajania siostry Knight, że męczę go gadaniem. Ale nadzedł doktor, spytał, o czym mówimy, i wysłuchawszy powiedział, że nie. Że nic. Niech mówi. I ja mogę mówić. To mu sprawia ulgę. A zaszkodzić mu już więcej nie może. Powiedział też, że ma w jego sprawie list. — To był jakiś dzieiiny chłopak: ocalił życie swemu pułkownikowi. Piszą do mnie o jego stan: ma tu ktoś przyjechać go dekorować. Napisałem, żeby się pospieszyli. I pan niech będzie dobry dla niego do końca. It won't be very long. Niedługo, poor boy¹.

Wróciwszy z ambulatorium przyjrzałem mu się uważnie. Doktor miał rację. Jego ręce na kółdrze stały się bardziej żółte i przezroczyście, i przyschłe do kości, a oczy podkrażyły się sino. Tego dnia mówił już mało. Prosił, żeby mu jeszcze powiedzieć Grenadę, i mówiłem mu ją dwukrotnie. Drugiego dnia odzywał się jeszcze mniej. Ale koło południa na końcu sali zrobił się ruch i brzęk jakiś. Leżący popodnosili głowy. Zobaczyłem, jak idzie doktor, siostra i wskazują na nas dwom oficerom, i powiadają, żeby iść ciszej. Ale oni — widać — nie zrozumieli albo nie umieli iść ciszej. Zobaczyłem polskie odznaki.

¹ To nie będzie długo... biedny chłopiec.

Wieloletni attaché wojskowy polski w różnych stolicach, pułkownik dyplomowany N., był w swej roli. Był zarazem wyniosły i ojcowski, surowy i dostojny, bojowy i wytworny. Miał ręce w rękawiczkach z żółtego peccary, a piersi całe w orderach, a elegancki porucznik w wysokich butach był jakby uzupełnieniem jego rękawiczek, orderów, i akselbantów. Była to ceremonia najwidoczniej tak dla niego pospolita, jak dla księdza śpiewanie mszy. Zabierał się do niej z godnością:

— Kapral Łaptak Józef? — upewniał się.

Ranny jakby podniósł głowę. Nie mówił nic, ale jakoś zmrużył z wytężeniem oczy. Patrzył w twarz pułkownika. Ten był z kolei ojcowski.

— Skądżeście, Łaptak?

Ten nie dosłyszał widać, bo jakby go zatkało, tylko patrzył coraz uporczywiej. Pułkownik dobrotliwie powtórzył raz jeszcze:

— Z Polskiście?

— Z... z Francji.

Coś naraz niesamowitego było dla mnie w tym głosie, w pytaniu tym, odpowiedzi. Gdzież ja to kiedyś słyszałem? Ale pułkownik był uroczysty:

— Kapralu Józefie Łaptak! Na polu walki z odwiecznym wrogiem naszej ojczyzny zachowaliście się jak prawy i nieodrodny syn naszej wspólnej matki Rzeczypospolitej Polskiej. Przynosicie dumę waszej rodzinie i całemu waszemu wychodźstwu we Francji. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej z rozporządzenia jej władz najwyższych otrzymaliście Krzyż Walecznych!

Miał go w ręce i prawie, prawie że nachylał się nad Łaptakiem. Ale naraz wyprostował się znowu. W oczach Łaptaka było coś nieprzytomnego tym razem. Myśleliśmy, że schwytał go nagły ból albo wzruszenie za silne. Aż pułkownik, przerażony, zapytał:

— Co wam, Łaptak? Słyszycie mnie?

— Słyszę — szepnęła ranny tym swoim cichym, wyraźnym głosem. — A pan major... pan major... mnie poznaje?

Pułkownik ściągnął brwi. Męczył się. To nieładnie nie poznawać. Królowie i wodzowie muszą mieć pamięć twarzy. Wyraźnie się męczył. Począł nadrabiać: — Tak, Łaptak, rzeczywiście, zaraz no; zaraz, czekajcie... Gdzież to ja was ostatni raz...

Od łóżka szedł szept jak syk:

— Pan major mnie tylko raz... To było w Tudeli... Tudela... — powtórzył. — A ja byłem...

Twarz pułkownika stała się naraz ciemna, tak napłynęła krwią. Cofnął się o krok od łóżka. Opuścił rękę z orderem. Przystojny adiutant patrzył oniemiały: on jeden tylko nie rozumiał, co się stało. Ale pułkownik to człowiek bywały. Opanował się. Zaczął mówić zupełnie innym niż dotąd głosem. Ani uroczystym, ani ojcowskim, ani wodzowskim. Jakimś dziwnie ludzkim:

— Ach, to wy, wtedy... Przykro mi. Ja... doprawdy... Przykro...

Adiutant patrzył oniemiały na swego wodza. Pewno go nigdy nie widział takim. Ja podniosłem się. Patrzyłem na twarz Łaptaka. Znikło z niej napięcie sprzed chwili. Zjawił się tylko bardzo smutny, jesienny uśmiech... — Zgadza się... tak, to ja... dobrze... dobrze... ale... niech pan major.. już mnie i teraz zostawi... mnie... już niedługo...

Miał rację. Rzeczywiście było niedługo. Lekarz też miał rację. Jakoś ledwo w godzinę potem przysunięto biały parawan, przyszedł ksiądz, czarnooki dominikanin w szerokiej białej sutannie pod czarnym płaszczem, i wsunął się w szumie tej sutanny za parawan. Przyszła siostra i doktor i mówili do siebie cicho, aż nie słyhać było jego głosu. Leżałem nasłuchując, kiedy siostra podszła do mnie i podparła mnie: — On chce pana jeszcze zobaczyć. — Myślałem, że mi coś powie, ale poruszył tylko wargami. — Józek, Józek — powiedziałem i myślałem, że może chce tę Grenadę. Ale siostra potrząsnęła głową. — On już nie może mówić, on już nie słyszy. On jeszcze tylko widzi. Może mu pan zrobi jaki znak? Jakiś polski znak. — Polski znak? Nie znałem żadnego polskiego znaku. Ale naraz uświadomiłem sobie, że jest jeden znak, jakiego sam nie robiłem, który moim nie był, ale który temu człowiekowi wchodzącemu w śmierć przypomni to, co było jego młodością i jego wiarą, i jego ofiarą, i jego wzlotem, i najpiękniejszym, i najbardziej gorzkim w jego młodym, dopalającym się życiu. I tak, aby ją widział, póki jeszcze widzieć będzie, podniosłem pięść zwiniętą w kułak, pięść, jak oni podnosili ją w Hiszpanii. Tak. To był znak. I trzymałem ją tak na jego oczach, aż odwracały się w górę, stawały znieruchomiałe i szklane, i nim nie włożyłem mu — na zawsze — tego jego wykupionego różańca.

Gwiazda wytrwałości

W ostatnich dniach listopada 1944 roku na północnym skrzydle zachodniego frontu zapanował zupełny zastój. Czołgi Pierwszej Polskiej Dywizji Pancernej, przebywszy heroicznie Normandię, Pas de Calais, Flandrię, Belgię, wryły się teraz na dobre w rozmiękczone deszczami jesiennymi piaski, groble i błota Brabantu. Holenderskie kanały trzymały dobrze. Codziennie szwadron po szwadronie wysuwał się na odcinku pułkowym na ewentualne „zadanie”, ale zadania jakoś nie przychodziły i kronika pułku stała się ostatecznie sucha i krótka. Co więcej, mnożyły się nieomylnie znaki, że front nieprędko się ruszy. Z Londynu niemal co parę dni przyjeżdżał teraz na inspekcję jakiś dobrze odchowany, suto uorderzony generał, uroczyście objeżdżał „pozycje”, przeprowadzał „lustrację”, z niekłamanym zdziwieniem przypatrywał się czołgom, po czym w kasynie oficerskim wracał do opowiadań bujnej młodości i doświadczeń bojowych spod Łowczówka czy Radzymina. Przyjechał — także z Londynu — specjalny korespondent fotograficzny polskiego ministerstwa informacji, dokonał paru zdjęć z „pierwszej linii” — dekoracja żołnierzy, mesa sztabowa, msza polowa itp., okazał się wielkim mistrzem w dziedzinie pokera, a jeszcze większym na polu giełdowych spekulacji walutami. Nawet trzech polskich korespondentów wojennych zaryzykowało jeepami swój pierwszy w życiu dojazd do bojowych oddziałów dywizji. Wszystko to, dla dobrze obeznanych ze sprawami wojny, mówiło jasno: lull. Znosi się najwyraźniej na dłuższy, może do Nowego Roku zaciągnięty, zastój działań wojennych.

Nic też dziwnego, że aż czterech oficerów 10 pułku strzelców konnych wzięło wspólny urlop i jeepem rotmistrza Iwanowskiego (tym samym, którego gdyby nie alarm polskich Żydów, Kanadyjczycy omal nie buchnęli z Antwerpii) pognało do Brukseli. Szybko wpadli z grobli przykanałowych Brabantu na szeroki asfalt holenderskich szos, zostawili na boku Bredę, zjechali z drogi na Antwerpię i gnali popod cieniem klonowych alei ku Brukseli. Był ranek bardzo wczesny i bardzo listopadowy, w przeddzień spadł był deszcz i wielkie kałuże schły wolno na szosie, furczały na niej tam i z powrotem wojskowe wehikuly, asfalt wyścielały miejscami opadłe żółte rozcapierzone liście. Jesień brabancka jest podła, bo bardzo deszczowa i mglista, ale tego dnia do południa zaczęło się wypogadzać i zaczynała się prawie robić, jak zauważył ksiądz ka-

pelan Kłazewski, prawdziwa jesień podolska. Gdy wjeżdżali w zatłoczone dojazdowe drogi do Brukseli, urlop zapowiadał się nie mniej pięknie jak pogoda. Szkoda tylko, że był taki krótki. Przepustki opiewały do godziny 12 w nocy następnego dnia, 29 listopada. A tu tymczasem nieubłaganie było już niemal południe dwudziestego ósmego.

Rozeszli się każdy w swoją stronę, za swoim interesem czy potrzebą, na środku Boulevard Max, tuż przed hotelem „Atlanta”. Weszli nawet jeszcze wszyscy czterej do niej, jako że w „Atlancie” stawali z przydziału oficerowie Pierwszej Armii Kanadyjskiej, w skład której wchodziła Polska Dywizja Pancerna. O tej chwili rozpoczął się pech, wyraźny pech całego tego urlopu. Nie było pokojów. „Atlanta” była wyjątkowym hotelem brukselskim, który dawał gwarantowanie czystą pościel i jakże cenioną na froncie! — możliwość rzetelnej, gorącej kąpieli. Po wielkich staraniach kolaratka księdza kapelana czy francuszczyzna porucznika Sztuma zrobiły swoje i zdobyły dwa łóżka w dwóch różnych pokojach. Ksiądz odstąpił potem swoje Iwanowi: sam poszedł ulokować się w którymś z brukselskich klasztorów. Problem noclegu Witka okazał się mniej trudny: miała go przytulić ofiarnie kuzynka jednej znajomej z Gandawy. Ale pech prześladował nadal wszystkich razem i każdego z osobna. Wizyta u pana Marcina zawiodła spodziewane nadzieje: w „Sonacie” zmienił się program wieczorny i nie występowała już znana dobrze niejednemu z oficerów pułku, piękna Marusia, córka grabarza z Lille. Sztum daremno biegał po księgarniach za gramatyką języka dolnoniemieckiego, którą obiecano mu przed dwoma tygodniami; kapelan nie dotarł do źródeł olejku lawendowego; a rotmistrz Iwanowski, który ze swych operacji nie zwierzał się szerzej, wrócił nazajutrz wieczorem na umówione miejsce w najgorszym humorze. W dodatku termin kończenia się przepustki uniemożliwiał spędzenie drugiego wieczoru w Brukseli. Do miejsca postoju pułku były dobre trzy godziny jazdy. Raczej cztery, zwłaszcza że po nocy i zwłaszcza że na miasto zaszła właśnie mżysta listopadowa szaruga, w której ginęły nieliczne uliczne światła i blakły połączone gzymsy domów starych przy Hôtel de Ville.

Na miejsce spotkania przed odjazdem rotmistrz wybrał niewielką boczną uliczkę w tyle za tymże Hôtel de Ville, już na starym

mieście brukselskim, przed niewielką kawiarnią, raczej szynkiem, bistro, gdzie można będzie jeszcze i napić się, i przekąsić. Na przepelnionych ulicach Brukseli byłoby trudno postawić jeepa. Tu nie było nikogo o tej porze, a w bistro można było usiąść przy szerokim, starym oknie i mieć wóz na oku. (Od czasu swej antwepskiej przygody rotmistrz był ostrożny). Każdemu dał dokładny opis kawiarni, narysował niewielki plan, wypisał nazwę ulicy. Trafić tu istotnie nie było łatwo. Właśnie ta część starego miasta była gmatwaniną ulic dość opuszczonych i nieładnych. Piękne jej gmachy poburzone i zastąpiono innymi jakich sto czy mniej lat temu: małt^{ki} który zachował się z epoki. Ale uliczki i domy miały mimo tego charakter staroświecki, choć nie miały staroświeckiego wdzięku. A może nie miały go owego dnia i wieczoru, w listopadowym mroku, słońcu i mgle.

Zeszli się nawet punktualnie, dobrze przed siódmą. Kawiarnia okazała się dobrym miejscem spotkania. Nie tylko że nie było tu tłoczno, ale gdy weszli, nie było w ogóle nikogo. Zegar z wahadłem, z obrazkiem namalowanym na tarczy, głośno i nieregularnie cykał swoje minuty; na tle boazerii starej, ciemnej i nieładnej, na półce obok cynowych kufli wylegiwał się leniwy kot; za jeszcze ciemniejszą ladą, z butelkami w głębi, podniosła się, zbudzona z drzemki, tłusta, łysawa i płaska postać gospodarza. Patron dość opryskliwie objaśniał, że nie ma nic do jedzenia. Tak, chleb. Chleb jest. Ale poza tym nic. Może być kawa. Oczywiście prawdziwa: skądże? Wino? Tak: wino. Jeśli panowie nazywają to winem... Padre Kłazewski z właściwą sobie w rzeczach doczesnych sprawnością zorganizował posiłek. Za ladą prymus grzejący kawę zaczął furczeć, z jeepa Sztum przyniósł dwie puszki corned beefu, na złotym, dużym stole pojawiły się kolejno talerze, noże, chleb, szklanki, cierpkie belgijskie wino. Jedli w milczeniu, rozpamiętując zmarnowany, nieudany urlop, do domu się nie kwapiąc. Z okna jeep w ciemniejącym mroku przypominał im pułk i odjazd. Za nimi, w głębi ciemnej sali, Belg gospodarz ponownie zapadł w martwość, z której nie dał się wytrącić ani na chwilę kot.

— Jak myślicie, czy w kasynie będą pamiętali, żeby nam co zostawić?

— Kto się teraz tym zajmuje?

— Henio.

- Henio nie pomyśli.
- U Niedzielskiego na pewno by zostawili.
- Pewno. U nas, wiesz, jak to jest.
- U Salwy zawsze zostawiają.
- No, no... Nie mów, jak nie wiesz. Jak Salwa pojedzie do Brukseli, to pewno, że mu zostawią. Ale tak o każdym pamiętać znowu nie będą.

Rozmowa się rwała. Dolali wina.

- Co, zabieramy się? — pytał Iwan.
- Zaczekaj jeszcze, co się tak spieszyć — opóźniał ksiądz.
- Droga zła po nocy...
- Ale czasu pełno. Zupełnie dosyć. Zresztą... zostawiłem kartkę u pana Marcina, żeby przyszedł, jeśli coś najdzie. Co szkodzi pocze-kać?

Za oknem wokoło samotnego jeepa, w pustej, nie oświetlonej ulicy, rozsączał się mokry, wodnisty mrok. Lampa nad ladą w głębi rozświetlała opuszczoną w dół, połyskliwą łysinę Belga. Wśród cyny na półce spał kot hieratycznym snem.

- Było co w gazetach?
- Ii... Daleko o tej mowie Churchilla.
- Że Lwów to powinniśmy oddać, a Gdańska to nie brać?
- Aha.
- Dobry aliant.
- Dobry — podniósł Iwanowski. — Doobry. Doooobry...
- Ech, powiem wam, komu źle — a nam najgorzej.
- W trzydziestym dziewiątym było gorzej... — zaryzykował ksiądz.

— W trzydziestym dziewiątym gorzej? Kapelanie kochany, z cyckaś się urwał? W trzydziestym dziewiątym gorzej? Warszawa, bracie, stała. Warszawa stała. I była nadzieja. I była wiara. Wierzyło się tym aliantom, rozumiesz? Była wiara. A teraz? Wierzysz jeszcze Churchillom i innym? Wierzysz? To kup sobie zbiorowe wydanie jego mów, czytaj jedną po drugiej, odechce ci się. Jak po powstaniu tym całym odechciewa się już...

— Powstanie...

Słowo to zostało wypowiedziane jak echo, gdzieś zza ich pleców. Spoza nich. To pewna, że nie powiedział go Witek, który po zjeździe swego beefu pisał szybko jakiś list, ani Sztum, który do-

pijał wino. Słowo „powstanie” powtórzył ktoś za nimi. Ktoś pięty. Ktoś, kogo nie było. Gospodarz Belg? Obejrzeni się. Pod niską lampą łysina obniżyła się była bardziej jeszcze. Zegar nierówno tykał. Tylko z boku odezwało się ostre starcze kaszlnięcie.

Teraz dopiero zauważyli, że nie są sami w pokoju. Widocznie, gdy byli zajęci jedzeniem, wszedł cicho, siadł cicho, tak że nie spostrzegli go. Był dość blisko nich, przy sąsiednim prawie stoliku, ale w głębi, jakby we wnęce. Zaspany gospodarz nie zdążył także go zauważyć, bo nie podszedł, i przybysz siedział, jakby czekając. Jego przymrużone oczy wpatrzone były gdzieś przed siebie i niewidoczne.

— Znowu ktoś „od naszych”...

Powiedział to Witek, tym razem z porozumiewawczym uśmiechem. Wszyscy wiedzieli dlaczego. Bruksela jesienią i zimą owego roku wyzwolenia (jak też i Antwerpia, i Gandawa, i Breda, ale przede wszystkim Bruksela) pełna była polskich Żydów, wypełzłych naraz z jakichś schowków, targujących i handlujących za wszystkie lata, jakie z łaski Hitlera spędzili w norach swych ukryć. Zaczepiali na ulicach wojskowych — lub bywali przez wojskowych zaczepiani — i przeprowadzali wszelkie rozliczne i skomplikowane transakcje, wymiany guldenów na franki i odwrotnie, zakupy „postal orderów”, złotych monet, aparatów Leica, pończoch nylonów, papierosów amerykańskich, łupów.

Iwan oponował:

— Byłby podszedł. Nie każdy z brodą zaraz Żyd...

— Z brodą? Popatrz na jego czapkę! Ceratowa maciejówka. Nie Żyd? Powiem ci nawet skąd: z Kongresówki!

Kapelan, zrezygnowawszy już ostatecznie z przyjścia pana Marcina przypatrzył się także. Człowiek, który siedział we wnęce, mógł być istotnie polskim Żydem. Miał nieżydowski może, ale ostry, wydatny nos. Posiwiąta, niesforna bródka jak zapuszczony zarost opływała mu załom policzków i kończyła się spiczasto. Miał na sobie jakieś ciemne, dość staroświeckie ubranie — dziwacznie wtedy ludzie chodzili, nawet w Belgii. Mogło być czymś w rodzaju kapoty. Na stole jednak, przed sobą, położył czapkę. Była to istotnie krągła czapka z daszkiem, niewielkim daszkiem, ceratowa sama, wytarta na bokach, przyduszona i przytłuszczona. Przypominała i-

stotnie maciejówki lub czapki noszone do niedawna przez Żydów z Kongresówki.

— Może wcale nie Żyd? — pytał Sztum.

— Mów głośniej, jeszcze głośniej — zgromił kapelan. — Żyd! Żyd!

— Wcale tak głośno nie mówiłem! On zresztą nie słyszy.

— Może nie rozumie? Dlaczego musi zaraz być z Polski?

I tak się stało, że w tym momencie wszyscy czterej spojrzeli na przybysza. Siedział znieruchomiwszy zupełnie i miał oczy tak ukryte w tym przymrużeniu powiek, że można się było niemal zastanawiać nie tylko nad tym, czy słyszy, ale czy w ogóle żyje. Poczł widocznie spojrzenia na sobie, bo drgnął. Oczy otwierały mu się powoli, jakby ze snu. Poruszył głową. Witek poczuł naraz w swych własnych źrenicach sondy dwojga jasnych, starczych, niezmiernie przenikliwie jednak patrzących oczu. Z kolei poruszyły się wargi. Witek miał potem zachować wspomnienie owej stopniowej kolejności tych ruchów. Poruszyły się wargi wąskie, po czym, jeszcze po chwili doszedł wyraźny, ale cichy głos:

— Panowie, widzę, Polacy... Polacy...

(„Nie ma żadnego akcentu — przeleciało przez myśl Witkowi — żadnego akcentu. Nie, nie, zwłaszcza ani śladu żydowskiego jakiegoś akcentu. A jednocześnie mówił jakoś dziwnie inaczej. Pewno odwykł. Na pewno. Za granicą”).

— Pan szanowny — tak dziwnie jakoś zaczęł Iwan — też z Polski? Od dawna?

Stary człowiek popatrzył na rotmistrza i dalej mówił cichym głosem:

— Dlaczego — z Polski? Dlaczego — z Polski? Ja Polak. Jak panowie. Jak wy.

(„Nie, nie jest Żydem — pomyślał Witek — nie jest. Mogło się zdawać zrazu na pierwsze wejrzenie, ale nie, nie jest”) I zagadnął:

— O, to przepraszamy bardzo. Myśmy myśleli z początku, że pan jest Żydem z Polski. Bardzo przepraszam. Pan rozumie.

Stary człowiek poruszył się:

— Nie ma za co przepraszać. Izrael — brat starszy. Nie ma za co. Prawda? Broda? Za moich czasów wszyscy nosili. A wąsy jakie. Patriotyczną winność z tego czynili. Że Żyd, to i pisali w ga-

zetach paryskich. Też nieprawda. Rodzina — dziad — przyszła z Saksonii. Nazwisko się upolszczyło... To i tak... Za powstania też wytykali... Emigracja nie gorsza. Na paryskim bruku...

— Eee, paryskim — powiedział z wyższością Kłazewski. — Co tam paryskim! Jeszcze nie zdążyli walizek rozpakować. Londyńskim, o, tam by pan dopiero zobaczył. Tam to się zrą...

Starszy pan patrzył przed siebie.

— Londyn — mówił — Londyn. Nie. Jednak nie to co Paryż. Przede wszystkim nie tyłu ich tam najechało... Kielecczan, Płocczan, Oszmiańczuków. Kto tam siedzi w Londynie? Mnie by samemu tęskno było do...

Tu wymienił nazwisko, które potem zapomnieli tamci, jakies jakby na W. Witek szukał w mózgu wtedy, kiedy je posłyszał: wydało mu się skądś znane. Ale nie mógł go jakoś skojarzyć z żadnym z londyńskich biur. Więc żeby pokryć tę lukę w rozmowie, zapytał:

— A pan szanowny wołał tu, w Brukseli?

Siwie oczy starego człowieka rozjaśniły się. Twarz ożywiła się naraz:

— A tak! W Brukseli. I blisko tego Paryża, i tego, co się tam święci i gwarzy, i roi, i dalej od niego także. I blisko tego Londynu, gdzie socjaliści... socjalizm (podkreślał w słowie literę „y”). Trochę tu naszych oficerów z trzydziestego pierwszego... I pamiętają. Lubią. Belgowie wdzięczny naród. Nie zapomnieli. To nie francuski bourgeois, ten sam za Bourbona co za Louis Filipa...

— Czego nie zapomnieli? — wtrącił nie bardzo rozumiejący Sztum.

Staremu panu podniosły się zdumieniem siwawe brwi wąskie.

— Jak to czego? To młodzi się pytają dziś, na emigracji, czego? A o czym to panowie mówili na początku? Powstania nam nie zapomnieli. Ot co! Powstania! To nie pamiętacie, że tacy jak wy, w noc listopadową, ciemno było jak dziś, dziś noc taka sama. O polską sprawę wtedy mniej szło jak o europejską... o ludów... o tę belgijską... Belgowie za broń chwycili... Wolność sami wzięli. Car odebrać chciał. Car! Nasze wojsko miało pójść. Na Belgię! Tłumić! I poszło! Na Belweder!

Stary pan podniecił się nagle. Wyrzucał słowa w gorączce jakiejś, ożywieniu. Ożywienie zapadało w znużoną już obojętność

oficerów. Iwanowski postrzygł uszami do Sztuma, mrugnął na Witka, Kłazewskiemu zdało się, że stary to przychwycił, więc starał się rozładować grzecznie:

— Pan szanowny ma pamięć do historii...

— Pamięć do historii? A cóż ja innego robię? Piszę, zbieram. Jak nie pamiętać... Ojciec umierał, pamiętam, wtedy. Pamiętam, umierał ojciec... Był listopad i było ciemno... Wbiegła służąca, że strzały i że gwardie wyszły na ulice. Bo koszary gwardii były najbliższe naszym. Potem do pani Rautenstrauchowej, która mieszkała najbliżej, poszli powiedzieć... Ojciec umierał...

Sztum od kilku minut słuchał z podejrzliwą uwagą:

— Przepraszam pana... może nie zrozumiałem... pana... mówi, że ojciec pana... bardzo mi przykro, istotnie... że ojciec pana umarł... kiedy?... w rocznicę listopadową?

Stary człowiek zaprzeczył głową:

— W rocznicę? W rocznicę już w Warszawie był Paskiewicz. W ten dzień właśnie. Nie w dzień, raczej w noc. W ową Noc Listopadową.

Sztum upewniał się:

— W Noc Listopadową?

Stary człowiek kiwnął dumnie głową:

— Tak, panie. W Noc Listopadową.

Sztum jeszcze się upewniał. Sztum był zawsze wielki pedant:

— Zaraz, zaraz, więc jak? W noc listopadową, 29 listopada 1830 roku? Tysiąc osiemset trzydziestego roku — podkreślił słowo osiem. — W noc wybuchu powstania?

Stary człowiek skinął głową tak samo i spokojnie jakoś, z uporem:

— Tak, panie. Mój ojciec, świeć, Panie, nad jego duszą, umierał właśnie wtedy, kiedy Wysocki, biedny Wysocki szedł na Belweder.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Zza lady doleciało pochrapywanie łysogo Belga. Wszyscy przeliczyli naraz w głowie odległość dat dzielących historyczny rok 1830 i dzisiejszy, 1944. Wszyscy zapytywali sami siebie o to samo, o co zapytywał starego wścibski mały Sztum. Na ustach Sztuma ustalił się wreszcie ironiczny, kpiący uśmiech, który spotkał się z pobłażliwym uśmiechem Kłazewskiego i z pokręceniem głowy Iwanowskiego, i z jakimś zakłopo-

taniem Witka. Stary człowiek nie widział tego wszystkiego. Znowu jakby zapadł w ten swój dziwny półsen. Jego oczy patrzyły gdzieś przed siebie.

Milczenie przerwał naraz głos Sztuma. Był to głos sztubaka, który podchodzi naiwnego profesora w szkole.

— To bardzo dobrze wiedzieć... Naprawdę, miło poznać... To pan dobrze pamięta, jak to było... Może nam pan opowie? Niech no pan się przysiądzie... Prosimy. Prosimy. Jak to z tym było?

Witkowi, trąconemu przez Sztuma pod stołem, zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Ale tymczasem stary człowiek usiadłszy przy nich zaczął opowiadać:

— Ojciec był bardzo źle od czwartku już. Rozumieją panowie, w jego wieku. Po południu, gdzieś koło piątej, był doktor Chevalier. Powiedział, że stan jest bardzo niedobry... Odprowadzałem go do drzwi. Nim wyszedł, powiedział w progu: „To na dziś wieczór.” Byłem tak zaszępiiony ojcem, że nie zrozumiał nawet. Zrozumiałem raczej, że doktor Chevalier zapowiada śmierć ojca na dziś wieczór. Co i nastąpiło, ale później. Zapytałem więc: „Jak to, dziś wieczór?” On zrozumiał, że myślę o ojcu, i wziął mnie za rękę. Pamiętam jak dziś. Przyciągnął twarz do twarzy i powiedział: „Non, pas votre père. L'autre. C'est pour lui ce soir. L'Ours.”¹ Bo panowie wiedzą, myśmy w naszej mowie tajemnej mówili o nim: l'Ours. Niedźwiedź. Albo: le Mongol. Że Kałmuk taki, Kałmuk...

— Jaki Kałmuk? — zapytał Sztum.

Półszepem, takim samym głosem, jakim musiał zapytywać doktora Chevalier, groźnym, konspiracyjnym półszepem rzucił przez stół, nachyliwszy się nagle:

— Konstanty.

Zrobiło się nagle cicho i jakoś niesamowicie. Światło dalekiej lampy było jakby bledsze, rozcieńczone ciemno i mgliście. Stary pan opowiadał dalej.

— Świętej pamięci mój ojciec mieszkał w pokoikach na górze, ale na czas choroby zniosłem go na dół i leżał w pokoju, obok którego ja pracowałem. Wykańczałem moje Prawo litewskie. Doktor Chevalier wyszedł, a ja przypominałem sobie wszystko. W sieni. Ledwo drzwi za nim zamknąłem. Powiedział jeszcze, żeby go nie

¹ Nie, nie pański ojciec. Ktoś inny. Ten wieczór — to dla niego! Niedźwiedź.

wołano, jeśli nie będzie potrzeba, bo *boi się une bagarre*¹. Trzeba zaś panom oficerom wiedzieć, że ten Chevalier był francuskim emigrantem. Był kiedyś jakobinem, potem był lekarzem pułkowym za Napoleona u Murata, ranny w 1812 roku, przechował się w dworze u Ciechanowieckich w Mińszczyźnie — moja siostra cioteczna była za tym Ciechanowieckim — potem był sztabs-arctem u generała Umińskiego. Do Francji burbońskiej dawny jakobin nie mógł i nie chciał wrócić; znali go tam. Zataił się u nas. Leczył w wojsku i mieście, miał wykłady dla młodych medyków wojskowych i duże wzięcie. Mieli go trochę na oku, bo sprowadzał z Paryża „*Constitutionnela*”, a panowie wiedzą, jak się o to złościł le Monjol. Ale miał praktykę w tych sprawach, nie jak nasi. „Kto się u Fouché uchronił, tego byle Mackrott nie złapie” — mawiał. Wiedziałem, *qu'il est bien renseigné*². Nie jak nasi. I powiedziałem sobie, że jeśli powiedział, że to dziś, no to znaczy, że dziś.

Dokładność opowiadania poczynała działać.

— Może pan się z nami napije, proszę — prosił rotmistrz. — Patron, un couvert de plus³.

— Dziękuję, za moich czasów wino tu bywało niegorsze. Tutejsze, ale niegorsze. Gdzie to ja urwałem? Aha, jak wyszedł doktor. Więc jak wyszedł, wszedłem do mego pokoju. Gdzie pracowałem. Drzwi od pokoju ojca były otwarte. Spał. Żle oddychał, nierówno, ale spał. Tedymsi usiadł przy sekreterze — właśnie pisałem wykład o prawie litewskim dawnym — i zacząłem sobie przypominać. Parę tygodni wcześniej był u mnie Wysocki. Kapitan Wysocki. Mówił, że wybuch będzie. U podchorążych. Że jest i druga, cywilna konspiracja. Nabelak, Plater, Orpiszewski. Dwóch Orpiszewskich. Że jest i w pułkach rosyjskich, w gwardiach zwłaszcza. W wołyńskiej. Radził się. Młodzież mi wierzyła. Pytał o Francję. Co zrobi? Nie wiedziałem, co zrobi Francja, ale wiedziałem, że to, co jest, jest nieuchronne i nikt tego już nie odwróci. I wiedziałem, kiedy wychodził ode mnie kapitan Wysocki, że to przyjść musi, i niebawem. Ale potem przyszła choroba ojca i jużem w to wpadł i o bożym świecie zapomniał.

Siedziałem może godzinę, może więcej. Weszła Franciszka, słu-

¹ Zamęt, rwetes.

² Że on jest dobrze poinformowany.

³ Szefie, jeszcze jedno nakrycie.

żąca (jeszcze u matki mojej była), zapaliła świece. Słyszałem, jak od ulicy poszedł stróż Jędrzej, żeby zasłonić okiennicę. Pokazałem przez okno ręką, żeby zasłonić u ojca, ale nie u mnie, i żeby przyszedł do sieni. Kiedy przyszedł, dałem mu szóstaka, że taki staranny, i zapytałem, co na mieście słychać. „Ano nic — powiedział Jędrzej — a to pan profesor nie wie, że córka Kozuba, tego szewca z Franciszkańskiej, uciekła z tym przystojnym czeladnikiem? Fono są za pruską granicą”. Wydawał się bardzo zajęty tą wieścią. „A niczego tam więcej nie słychać, Jędrzeju, na mieście?” — jeszcze pytałem. „Ano nic, proszę ja łaski pana profesura, ano nic, bo to z Jedlikówką nie wyszło naprawdę. Chyba jeszcze to — dodał — że studenci i oficerzy znowu o ruchu jakimś mówią. Ale że to pan profesor wie, jak to jest na świecie; pod wiosnę mówią, że wojna będzie, a na jesieni, że rewolucja. A jeszcze, że słyszeli we Francji i w tej drugiej.” Wtedy obudził się ojciec i zawołał mnie zaraz. Poszedłem. Jędrzej odszedł. Miał przyjść dopiero na drugi dzień. Przeprowadzić stolarza. Na miarę trumny.

Ja tymczasem usiadłem przy ojcu. Ojciec oddychał gorzej i świ stało mu w gardle. Siedziałem przy nim i patrzyłem do mojego pokoju, ponad te książki, za okno. Było coraz ciemniej. Naszą ulicą mało kto chodził wieczorem, więc słyszało się kroki. Ojciec się męczył, brakło mu tchu, podnosiłem mu poduszki. Poszedłem po drugiej do siebie i wtedy posłyszałem strzały. Jakby strzały. Od Belwederu. Potem z pół godziny było cicho, aż naraz ktoś biegł ulicą i to słychać było głośno. Nawet ojciec słyszał. Strzałów nie słyszał jakoś. Były daleko. Weszła Franciszka z narządzonymi wywarami dla ojca, które przepisał doktor Chevalier. Powiedziała, że mówili, że jest pożar jakiś. Ojciec się zląkł, czy blisko. Uspokajała, że nie, że daleko. I że ugasili. Gdzieś aż na Solcu.

Sztum słuchał ze wszystkich najpilniej.

— Ojciec coraz gorzej chytał oddech i bolały go piersi przy tym, kiedy strzały doszły całkiem wyraźnie, ale z innej strony, od miasta. (Potem dowiedziałem się, że to było wtedy, kiedy wystąpiły inne pułki, wzięto arsenał, rozbrojono w teatrze oficerów rosyjskich). Coraz to ktoś biegł ulicą, koło nas, czasem krzyczał, raz pognali konno. Potem ojciec rzeził i posłałem Franciszkę po doktora, ale wróciła bez niego i powiedziała, że Jezus, Maria! Rewolucja Francuska, że wielki kniaź „ubit”, że jeden generał polski

zabity na Mostowej leży. Czy na Lesznie. Mówiła pacierze głośno. Zgromiłem ją, by nie straszyla mi ojca, ale ojciec już nie słyszał. Usta mu się tylko poruszały, powietrze nimi chwyczał i raz, gdy były nowe strzały, jakby oczy otworzył. Ale nie, na pewno nic nie słyszał. I tak szły godziny jedna po drugiej na zegarze, świece dopalały się i trzeba było nowe wstawiać. I tu na moich rękach konał mi ojciec, a tam na ulicy rodziła się wolność! Przyszedł ksiądz od franciszkanów, jakiś zestrachany, udzielił in articulo i zaraz wybiegł. Było coraz głośniej na mieście, ale ojciec tego wszystkiego już nie słyszał. Świtało za oknem, kiedy ojciec skończył na moich rękach i kiedy zapukał kołatką doktor Chevalier. Miał pochłapany krwią surdut i ręce, bo szedł ze szpitala. Powiedział, że wielki ksiązę nie żyje i Kuruta, i Potocki Stanisław, i generał Hausman. „Et votre père?”¹ — przypomniał sobie. „Il est mort — powiedziałem. — Il a vecu assez pour rendre son dernier souffle dans une patrie libre”². — Pamiętam jak dziś. I zaraz potem przyszli do mnie studenci i oficerowie z kokardkami narodowymi na piersiach, francuskimi, rewolucyjnymi, i tłum, i posłali z Rady Administracyjnej. No jakże, zdałem egzamin z historii, panie poruczniku?

Wszyscy, ze Sztumem pierwszym, byli zapomnieli o pytaniu niedowierczym Sztuma. Tamto wszystko odpłynęło gdzieś w mrok. W powietrzu belgijskiego bistra, jak kłęby nie rozwianego dymu, unosiło się jeszcze strzępami tamto opowiadanie.

Stary człowiek kiwał teraz głową. Był zupełnie jak stary polski Żyd, niedobitek zaginionego gatunku. Oczy utkwiał w Sztuma, najmłodszego ze wszystkich. Były to oczy rozmrużone teraz zupełnie, ogromnie jakieś jasne. Głowa roztrzęsła mu się zupełnie.

— Wojsko polskie — mówił urywanymi zdaniem — wojsko polskie... wojsko polskie w Brukseli... Myślałem, że to nigdy nie będzie... że się nie stanie... coś takiego... pamiętam... szło wojsko z Warszawy, wychodziło we wrześniu... no i stało się...

— Tak, tak, panie dobrodzieju kochany, stało się, i jeszcze w Warszawie będziemy, ale teraz nam jechać pora, przepustka się kończy — przerwał rzeczowo Iwan.

¹ A pański ojciec?

² Umarł... Żył dostatecznie długo, by oddać ostatnie technienie w wolnej ojczyźnie.

Wszystkim to ulżyło.

(„Nie, stanowczo dosyć tych roztkliwień nad wojskiem polskim i gładzenia, i mazgajstwa, i tych opowiadań, jak to czyjś ojciec umierał. Dziadydze pomieszało się wszystko. Za długo siedział po jakichś lochach czy schowkach za gestapo. Otóż to” — myślał Wittek.) I głośno, żeby poprzeć Iwana:

— Jak to pan wie. Komu w drogę, temu...

Stary zaprotestował. Był cały w gwałtownych a drobnych, starczych ruchach.

— O, co znowu — mówił swoją dziwną, emigrancką polszczyzną. — Polskie przysłowie, polski obyczaj narodowy — obyczaj narodowy — każe strzeziennego...

I nachyliwszy się do Witka, łypnąwszy okiem, zarechotał:

— A jak strzeziennego, to już miodem! Polskim miodem. Mam polski miód. Stary, Fukierowski! Lubliner przysłał...

— Kto? — zainteresował się Sztum.

— Lubliner. O' nim też w paryskich naszych gazetach emigracji. Ha! Gorzej niż o mnie jeszcze. Lubliner...

— Może Litauer? — poprawił Wittek.

Stary się gniewał:

— Gdzie Litauer? Jaki Litauer? Litawor? Lubliner, mówię. Panowie nic o Lublinerze... A, prawda...

I jakby sobie coś przypomniał. Zapatrzył się. I naraz:

— Dziwne te wasze nowe mundury... Szare takie... Tylko orzeł ten ci... A te... wypustki... barwy... proporczyki czy jak to tam... jaki panowie pułk?

— Dziesiąty strzelców konnych — zaskandował czwór głos.

— Dziesiąty strzelców konnych... — powtórzyło starcze echo. — Dziesiąty... Ach tak... Zielone kurtki, żółte wyłogi. Dobry pułk. Jeszcze napoleoński... Z rekrutacji do Hiszpanii 1808 roku... Dobry pułk. Nie taki od paniczów, a dobry... Oficerstwo było w konspiracji... Pod Grochowem nacierali z Umińskim... Pod Iganiami... Zaraz, zaraz, nie przypomnę sobie... a może nie? Może to pod Dębem Wielkim? Ot dziurawa pamięć... Ale przy miodzie się załata... No, proszę łaski panów do mnie. W niskie progi... Ja tu o kilka progów...

Iwanem znowu zatargał tak zwany obowiązek:

— Bardzo ładnie, panie dobrodzieju — sam przechodził na ten dziwny język — ale my w wojsku, służba. Już późna godzina... Fora do pułku...

— Jaka późna godzina? A któraż to u pana rotmistrza? Na mojej cebuli siódmej nie ma.

Iwanowski spojrział i nie zrozumiał. Na jego chronometrze, złotym, szwajcarskim, była za pięć siódma. Witek i ksiądz spojrzeli na swoje. Było tak samo.

W zamieszaniu zapomnieli o wszystkim, nawet o jeepie, który dalej stał przed traktiernią, gdy oni ze starym, zgarbionym człowiekiem w lichym palcie i ceratowej maciejówce szli przez mgły brukselskich uliczek.

Nie szli długo.

Dom, przed którym stanęli, był ciemny i wąski, sień bez światła i schody drewniane pogarbione. Wprost z tej klatki weszli na piętrze do pokoju wysokiego i wielkiego. Wyglądał tak, jakby sam był całym mieszkaniem — łóżko, tanie, derką przykryte, staroświecka umywalka. Wyglądał jeszcze jak rupieciarnia, jak boczny pokój antykwarni. Na półkach, wzdłuż wszystkich prawie ścian, układały się książki mniejsze i większe, staroświeckie wszystkie. Książki zbiegały się aż na wielki stół w podkowę, zarzucony jeszcze papierami, pozapisywanymi drobnym, wyraźnym pisemkiem. Stary zawijał się koło jakiegoś kąta, wytaszcżając zielonkawą butelkę i zabrudzone kieliszki. Jego ręce drżały przy tej robocie. Kopcąca lampa rzucała więcej cieniów niż światła.

— Widzisz — trącił Sztum Witka — tym pisze...

— A czym, za pozwoleniem — dosłyszał widocznie stary — mam pisać, mój poruczniku? Pióro? Że gęsie? Temperują mi je w sąsiedniej papeterie — objaśniał — bo ręka już, jak panowie sami widzą... miód rozlewa i pióra źle tną. Nie tak za jednym pociągnięciem, jak trzeba... No, panowie! Napijmy się. W wasze...

— Mooocny miód — osądził Iwan.

— A co, panie rotmistrzu, a co? Warto było wstąpić do starego? On mi się dla was chował, polskiego wojska. Miód stary, jak książki...

— Książki też niczego — pochwalił Witek. — Uzbierał też tu sobie pan bibliotekę...

Stary machnął ręką:

— Bibliotekę! Bibliotekę! Trzeba było widzieć u mnie w Wilnie. Albo w Warszawie. Ani jednej książki nie wywozłem we wrześniu...

W Sztumie zbudził się inkwizytor:

— To pan we wrześniu wyjechał z Warszawy? We wrześniu?

Stary zdziwił się:

— Ano wrzesień był przecież, kiedy podpisywali kapitulacją — wymawiał znowu tak dziwnie: „kapitulacją”. — Kiedy rząd i sejm, i wojsko poszły na Zakroczym, Zawichost, Czersk, do Płocka...

— Jak to do Płocka — irytował się Sztum — jakiego tam Płocka? Zaleszczyk.

(„Nie przerywaj — spotkał upominający wzrok księdza — nie przerywaj, daj wreszcie spokój. Nie rozumiesz? Biedny stary, pomieszało mu się wszystko w głowie. Że też z tobą, Sztum...

— Dobrze, już dobrze — sygnalizował wzrok Sztuma — już nie, co chcesz ode mnie. Że się dziwię?...”)

— Do Płocka — powtórzył stary. — Do Płocka. To były te tygodnie konania. Jak tamte godziny z ojcem, kiedy rodziło się wszystko. Już było wiadome, że żadna pomoc nie przyjdzie i że powstanie padło nie dostawszy pomocy od tych, co powstania z Zachodu żądali...

(„O czym on mówi — myślał Sztum — o którym powstaniu? Warszawskim?”) Ale nie zapytał.

— O, i jeszcze jedną rzecz, jedną chciałem panom pokazać — ożywił się naraz nowym napływem stary. — Tylko gdzie to zapodział? Jest! — I przebierał w jakimś pudle pełnym starych monet.

— To pan i numizmata? — zapytał Sztum. — O, jakie piękne monety!

— Najlepszy zbiór polskich monet — oburzył się stary. — W Puławach takiego nie mieli! Gdzie ja to mam? Pisałem przecież o naszych monetach. Gdzie ja to mam?... Jest!

To, co trzymał w ręku i nad czym nachylili się czterej oficerowie, nie było jednak monetą. Na karteluszu pożółkłego papieru, wycieniowany piórkiem, widniał zarys jakby orderu o gwiaździstym kształcie. Iwan, który znał się na orderach jak Sztum na gra-

matykach hindustańskich, nie mógł sobie przypomnieć. Nie, nie znał takiego orderu.

— Order? — zapytał.

Stary, zapatrzony w rysunek, pokiwał poważnie głową.

— Tak, order. Ostatni nasz order. Gwiazda Wytrwałości.

— Polski order? — nie mógł wytrzymać Sztum. — Nie ma takiego polskiego orderu!

Stary potrząsnął głową:

— Nie ma — i jest. Uchwalił go, trochę na mój wniosek, powiem to panom, sejm, nie pomnę już, w Zawichoście jeszcze czy w Płocku już, już na samym końcu. Bo wtedy najpotrzebniejsza była cnota wytrwałości. Taki mój pomysł. Śmiano się ze mnie potem, że już nie pora była na ordery — ale na co już wtedy, po wyjściu z Warszawy, była pora? Ani go wykonano, ani rozdano i tylko rysunek mój tu pozostał. Uniknął chyba. Był w moich papierach, kiedyśmy przekroczyli granicę pruską, i tu ze mną przybył, i jest chyba nestorem tej, co tu panowie widzą, biblioteczki. I lubię, że jest na biurku przede mną tak, gdy piszę, bo mi to przypomina. Gwiazda Wytrwałości!

Ilekroć zaczynał mówić, to tak jak stary zegar. Najpierw stękał, zaciął się, zgrzytał, a potem dopiero mówił spokojnie i jakoś pięknie:

— Gwiazda Wytrwałości! Najpotrzebniejszy polski order. Nie męstwa. Męstwo jest. Męstwo nie zbawi. Wytrwałości. O, wytrwałość. Wytrwałość! Nam potrzeba było wytrwałości i wam w waszych terminach wytrwałości trzeba, i tym, co po was przyjdą, będzie jej potrzeba. Wiele wytrwałości. Pozwólcie, panowie, weźcie, tak na wspomnienie, ode mnie. Wstażki nawet nie było, tak weźcie. W naszym pułku by wtedy dostali, za Iganie i Ostrołękę słusznie im było należne. Weźcie, panowie, na odchodnym tak, i pamiętajcie: wytrwałości. Wytrwałości.

Zapewne cud, noc i mgły, jeszcze gęstsze owej pory, uchroniły jeep, zapomniany, od złodziei brukselskich, alianckich czy swoich, polskich. Było dobrze po dwunastej, gdy dobrnęli do kwater pułku, i był nazajutrz dobry raban o to. Dowódca pułku z odpowiednim wyrazem twarzy wysłuchiwał tłumaczenia o wizycie u dziwnego Polaka. Przyjął sceptycznie wyjaśnienia o książkach, gęsim piórze,

maciejówce. Pokiwał za to ze zrozumieniem głową, gdy niebacznie wspomniano o znakomitym miodzie.

— Panowie się nie zdziwią, że nieprędko zobaczą Brukselę — powiedział wreszcie swym irytującym, pogłaźliwym sposobem.

To ostatnie było do przewidzenia i tylko nieokreśloność czasu stanowiła zaskoczenie. Sztum tylko dalej wracał do brukselskiej wizyty.

— Musimy to opowiedzieć naszej Opiece — orzekł wreszcie.

Tak zwany, na angielską modłę, Oficer Opieki pułku, inaczej, mówiąc oficjalnie, oficer oświatowy, a nieoficjalnie, z wyraźniej niepowtarzalnych racji, owocowy, był jednak tego dnia na końcowej miesięcznej odprawie u majora Łubkowskiego, wnosząc stare, bezskuteczne i uparte skargi o to, że numery „Nowej Polski” dostarczane do dywizji ulegają nadal prywatnej cenzurze i konfiskacie gorliwego porucznika Podlizara. Przyjechał późno i zobaczyli go nazajutrz. Opowiedzieli wszystko tak, jak pamiętali, kłócąc się o szczegóły.

Oficer Opieki wysłuchał. Zbadał wszystkie kontrowersje księdza ze Sztumem, Witka z Iwanowskim. Prosił o odtworzenie możliwie dokładne opowiadania o tej śmierci ojca, zainteresowała go biblioteka pozostawiona w Wilnie oraz marszruta z Warszawy na Czersk, Zakroczym, Płock. Oficer Opieki pułku był to w ogóle dziwny człowiek i tylko dlatego zainteresował się tym wszystkim. Był kiedyś uczniem Handelsmana, ale został usunięty raz z asystentury historii, a potem z profesury w jednym z gimnazjów poznańskich. Poparcie historyka, generała Kukiela, i teraz uchroniło go od niejednej draki. W pułku go lubiano, bo zawsze opowiadał ciekawe rzeczy z historii, był koleżeński i odważny, ale nie poważano zbytnio, bo pić nie umiał.

Oficer Opieki pułku wysłuchał opowiadania po parę razy i, nie opowiadającym nie mówiąc, sam stanął o przepustkę do Brukseli. Adiutant pułku zdziwił się bardzo, zdziwił także stosunkowo małej sumie guldenów, jaką zabrał ze sobą, wymieniając je w kasie pułkowej, Oficer Opieki. Adiutant nie lubił Oficera Opieki. „Inny na jego miejscu...” Ale znając go, nawet nie zachęcał do korzystnych operacji.

Oficer Opieki pułku znalazł się w Brukseli w piękny słoneczny grudniowy dzień, kiedy mgliste mroki listopada stężyły nareszcie w

zdrowy przymrozek. Nie udał się ani do „Sonaty”, ani do pana Marcina, pozostał głuchy na zaproszenia pokątnych sprzedawców i kupców z Boulevard Max uśmiechy dziwek przy Giełdzie. Skręcił w stare miasto i był po chwili przed nie mniej starym i opuszczonym bistro. Odnalazł je bez większego trudu. Wszedł do środka.

Znowu nie było tu nikogo i łysy gospodarz był rad, gdy zamówiono najlepsze wino z karty. Zaproszony, przysiadł się, nawiązała się rozmowa. — Tak, mała frekwencja, que voulez-vous¹, miasto odeszło stąd. Amerykanie lubią avec de la musique du „fun”, vous comprenez — et alors? Il n’y a que les habitants du quartier qui viennent². Ot, długo jeszcze po takiej wojnie...

Ale Oficer Opieki nie był ciekaw, co będzie długo jeszcze po takiej wojnie, i przeciął:

— Dites donc³, a nie było tu jednego wieczoru czterech oficerów polskich? Dwudziestego dziewiątego. We wtorek?

— We wtorek? Zaraz, zaraz. A jakże, byli. Pili wino. Mieli leur pitance avec eux⁴.

Oficer Opieki dojrzał zegar z malowanym cyferblatem i kota. Zgadzało się. Pomyślał i zagadnął jakby od niechcienia:

— A zna pan może tego pana, w cywilu, starego, co się wtedy do nich przysiadł i z którym wyszli? Polaka? Dawno tu mieszka.

— Pana w cywilu? Nikt się do nich nie przysiadł.

— W cywilu — powtarzał flegmatycznie oficer. — W długiej, staroświeckiej redingote. Z czapką taką okrągłą, z daszkiem comme ça...

Ale nic to nie pomogło.

— Je vous assure, monsieur⁵ — mówił oberżysta, urażony w dumie swej pamięci — że nie było z nimi nikogo. Pas même une fille. Nawet dziewczki. Sam usługiwałem, więc wiem. Tenez!⁶ Znajdę panu — szukał za swą ladą. — Widzi pan! 29 listopada, wtorek, wieczór. Byli ostatni goście. Quatre couverts!⁷ Nie! — Po czym:

¹ Cóż pan chce.

² Amerykanie lubią lokale z muzyką do tańca, sam pan rozumie. Tu przychodzą tylko okoliczni mieszkańcy.

³ Niech mi pan powie.

⁴ Mieli swój prowiant.

⁵ Zapewniam pana.

⁶ Chwileczkę.

⁷ Cztery nakrycia.

— Nom d'un chien de nom d'un chien! Jak to się stało! Zapisałem, istotnie, cinq couverts! Cing¹. Pięć. O, monsieur — przeraził się nagle — pan jednak nie jest z police militaire? Je vous jure². Przysięgam. Jestem patriotą, mego syna wywieziono do Bawarii, doprawdy nic nie miałem z Niemcami. Nie, nie pamiętam, doprawdy nie pamiętam tego cywila.

Oficer Opieki zapewnił go spokojnie, że nie przyszedł w celach wywiadowczych i nie należy do żadnego z alianckich wywiadów. Człowiek, o którego się pyta, także nie jest podejrzany politycznie. Przynajmniej nie dzisiaj. Upornie, belfrowaniem, zacięciem, ponawiał swe pytania. Belg-karczmarz tępo przeczył dalej. Nie widział, nie pamięta. Nie pamięta.

Oficer wyszedł wreszcie i rozglądał się, dokąd pójść dalej. Informacje kolegów były w tym punkcie dość sprzeczne. Gdy tak stał, dogonił go karczmarz. „Pewno nie uspokoiłem go dosyć, że nie należę do wywiadu” — pomyślał Oficer Opieki. Istotnie, Belg popadł znowu w przerażenie. Ale teraz to on pierwszy pytał:

— Mon lieutenant, pan powiedział, że to był stary bardzo człowiek?

— Tak — ucieszył się porucznik — pan widział go więc?

— I ubrany, pan mówił, że staroświecka. Comme dans l'antan?³

— Jak?

— Une casquette ronde, polonaise?⁴

— Tak — ucieszył się porucznik. — Właśnie. Więc jednak pan go widział? Czemu pan nie mówił?

Ale Belg był wyraźnie zatrwożony po każdym potaknięciu.

— Nie, ja go nie widziałem — odrzekł. — Jestem tu od dwóch lat niespełna. Dawniej miałem inny lokal. Ale wiem, kim on jest... Ale najpierw, kto panu o nim mówił? Vos collègues? Tylko pańscy koledzy?

— Allez donc — mówił Polak. — Ja z panem nie robiłem tajemnic, niech pan ze mną ich nie robi. Co pan wie o tym człowieku?

— Pour sûr vous ne me croirez pas...⁵

¹ Pięć nakryć. Pięć.

² O proszę pana... żandarmerii? Przysięgam panu.

³ Jak w dawnych czasach?

⁴ Czapka okrągła, polska?

⁵ Pan z pewnością nie uwierzy.

— Pourquoi pas? ¹ Różne bywają dziwy...

— Tak — westchnął Belg — różne bywają dziwy i żebym zapisał pięć couverts zamiast czterech, to się także nie zdarzyło. Więc to jest tak. Ja ten lokal mam od ledwo dwóch lat, ale to jest stary lokal, ma swoich dobrych sto lat. I to nie zawsze była taka pusta rudera, jak pan widzi. I temu sto lat mieszkał tu niedaleko un Polonais, emigrant, un savant quoi ² rewolucjonista. Powiadają, że nasz pierwszy król do niego jeździł, ale po co — nie wiem. Może nieprawda. Choć teraz to już nie wiem, co prawda, a co nie. Więc ten pan, Polak, tu chodził co dzień, do lokalu, który pan widzi, siedział tu, jadł tu. Tu spotykał się z Polakami. Potem umarł. To było dawno także. I, powiadają — obniżył głos i nachylił się do ucha Oficera Opieki— potem opowiadano, że ON tu się zjawia. I że czeka na Polaków, którzy przyjdą... C'est connu dans le quartier ³, każdy panu powie... Byli tacy, co go podobno widzieli. Myślałem, que c'est tout ça des blagues ⁴. Takie gadanie, żeby klientelę mi odstraszyć. Ludzie są zawistni. Ale odkąd zamiast czterech piszę pięć — już nic nie wiem...

Oficer Opieki słuchał dziwnego opowiadania nie dziwiąc się niczemu, tak jakby do zagadki, w której odgadł już przedtem niemal wszystko, dochodził ostatni, naprzód odgadnięty człon. Zapytał jeszcze Belga:

— Nie pamięta pan, jak się miał nazywać ten Polak?

— Pamiętałem kiedyś — rzekł Belg. — Nie, nie bardzo polski. Coś na L., coś tak jakby Laval. Laval. Ale on mieszkał w tamtej uliczce od rogu i w domu tym wmurowano na jego cześć une plaque. Tablicę. Tam wszystko jest napisane. O, tędy. Nie ten, tamten dom. Nie, drugi. O, właśnie. C'est bien celui-là ⁵.

Było bardzo rozświetnione popołudnię brukselskiego grudnia, oficer w battle-dressie brytyjskim, ale z polskim orłem na czarnym berecie i z czarnym naramiennikiem dywizji pancernej, czytał proste słowa:

¹ Dlaczegożby nie?

² Pewien Polak... jakiś uczony.

³ To tutaj jest znane.

⁴ Że to wszystko bujdy.

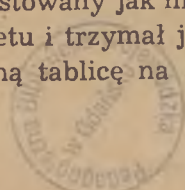
⁵ To właśnie ten.

W tym domu żył, tęsknił
i tworzył
polski historyk patriota,
rewolucjonista,
prezes Rządu Narodowego
w 1831 roku
Joachim Lelewel

Oficer Opieki wiedział. Wiedział o tym wszystkim o wiele, wiele wcześniej, wiedział o tym nieomal od pierwszych słów opowiadania rotmistrza, kapelana i obu poruczników. Każdy szczegół zapamiętany przez Witka czy powtórzony przez Sztuma pogłębiał w nim tylko tę spokojną, naukową pewność. Zbyt wiele czasu swych studiów prześlęczał nad tamtymi czasami, aby nie dostrzec, że każdy szczegół relacji oficerów miał znamię historycznej autentyczności. Oficer Opieki wiedział to wszystko, jeszcze nim tu przyszedł. Teraz wiedział o wiele więcej! Wiedział, że do jego z kolei relacji odniosą się wszyscy w pułku z takim samym — ba, większym! — niedowierzaniem, z jakim major odniósł się do usprawiedliwień tamtych po spóźnieniu z przepustki, sporo winy składając na ów miód lekkomyślnie wypity. Wiedział, że jeśli opowie to kiedy w Polsce, ludzie pokiwają głowami: „ładne literackie opowiadanie”. Wiedział, że jeśli się będzie przy nim upierał — to raz jeden jeszcze ominie go katedra.

Ale jednocześnie Oficer Opieki, który historię nie tylko znał, ale rozumiał i czuł, wiedział, że było właśnie tak. Wiedział także, iż tej wiary, że tak było właśnie, nikt jemu przynajmniej nie odbierze. Nie darmo pisał kiedyś magisterską pracę o „brukselskiej działalności Joachima Lelewela”, żeby nie rozumieć, że musiało być tak, a nie inaczej, tak jak chciała legenda brukselskiego staromieścia, opowiadanie kolegów i świadectwo karczmarza, i dowód — namacalny, zachowany — cztery nieznanego rysunku orderowe znaki.

Dzieci bawiąc się w domino na skraju ulicy dziwiły się chwilę patrząc, jak aliancki oficer, wyprostowany jak nigdy, podniósł dłoń do wysokości swego czarnego beretu i trzymał ją długo w żołnierskim salucie, wpatrzony w ciemną tablicę na szarym staromiejskim murze.



Spis treści

Trębacz z Samarkandy	5
Różaniec z granatów	13
Gwiazda Wytrwałości	29

ISBN 83-203-2032-1

RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
Wydanie I. Warszawa 1983.
Nakład 299.700+300 egz.
Ark. wyd. 2,5. Ark. druk. 3,25/16
Oddano do produkcji we wrześniu 1982 r.
Podpisano do druku w sierpniu 1983 r.
Prasowe Zakłady Graficzne
Łódź, ul. Armii Czerwonej 28
Zam. 2149/82. M-21.

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 1*

181461